



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA "PRAWDY"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranic: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt walejących od godz. 10 do 6. Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu. Rekopy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, ksioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazński Nr. 7. Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach. Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TIĘŚĆ. *Polityka*: Pozytywne środki. — Francja i Anglia p. T. T. Jęta. — Z Francji p. P. — Z Rusi bałtyckiej p. I. Franko. — Tydzień polityczny. — *Powiadki*: Za trzydziestoletnią pracę I. p. Z. (Konarski) Pietkiewicz. — *Literatura i sztuka*: Michał Czajkowski I. p. W. — Wszelchoty p. N. Hirsbanda. — *Prasa* peryodyczna p. Leszka. — *Odczyty* p. H. Biegeleisera. — *Konkurs Towarzystwa Zach. Szt. Pięk.* — *Fajleton*: Librum veto p. Posła Prawdy. — *Na widokrepu* p. Nieborskiego. — *Kronika bieżąca*. — *Odpowiedzi redakcyi*. — *Ogłoszenia*.

Tom II SZKICÓW i OBRAZKÓW Prosa wyszedł z druku.

Ekonomia polityczna, dołączona zeszytami w bezpłatnym dodatku do *Prawdy*, w osobnym odbiciu kosztuje rs. 3.

POLITYKA.

„POZYTYWNE ŚRODKI.”

Wigo jeszcze nie koniec, który przejdzie najpotworniejsze oczekiwanie dzikości naszego wieku! Trzydzięci tysięcy niewinnych ludzi wygnął rząd pruski, ale nie pochwałil tego okrucieństwa naród niemiecki, przynajmniej jego większość. Teraz idzie o to, ażeby ów naród przez swych przedstawicieli w Izbie pruskiej przykładał strasnomu igrzysku a nawet sądał przedłużenia go z większą energią.

Jakkolwiek naganna, udzielona ks. Bismarkowi w sejmie pruskim, była bardzo skromną i mniej ostrą, niż litewski kisiel, nie mógł przecież dumny pan jej strawić. Polecił zaraz swojej ozeladzi narodowo-liberalnej i konserwatywnej, ażeby w Izbie pruskiej, będącej kancelarską kuchnią, przygotowała knedel narodowy i podała go na półmisku rządowi. Ozeladź ta przyprawiła wniosek, który pozyska większość sejmową, a który podajemy w brzmieniu dosłownem, ażeby żadna kiedś ostu nie wypadła z tego oślego bukietu: „Uznając energię i obowiązki królewskiego rządu do energicznego wystąpienia w obronie narodowych interesów niemieckich w prowincjach wschodnich, Izba 1) wyraża *zadowolnienie*, że w Najwyższej mowie tronowej zapowiedziane są środki *pozytywne* dla za-

pełnienia i istnienia i rozwoju ludności kultury niemieckiej w tych prowincjach; 2) oświadcza *gotowość* przyznania odpowiednich zasobów dla przeprowadzenia wymierzonych ku temu środków, zwłaszcza na polu szkolnictwa i ogólnego zarządu, oraz dla popierania osiedlenia niemieckich rolników i włóscian w tych prowincjach.” W takim to uciuku i zagładzie odbija się „kultura niemiecka.” To nie dżicy zulusi, zanoszący krwiożerczą prośbę do swego Cetewaja, ale przedstawiciele oświeconego narodu niemieckiego, podający „genialnemu męgowi stanu” sprawiedliwy wniosek. Strach pomyśleł, w jakim my czasie żyjemy, jak okropny chaos pojęł nas otacza, jak śmiało występok przybiera oblicze onoty! Treba koniecznie na to zdrożności patrzeć, ażeby w nie uwierzyć. Za lat trzydzieście potoczność wątpić będzie, czy terazniejszość zapisała jej świadectwa tego tyberjanizmu wnierni!

Jak rzekliśmy, sławna owa pochwała „energicznego wystąpienia” przeciw polakom oraz dołączone doniej żądania w Izbie pruskiej przejdą. Tam bowiem panują konserwatyści i narodowo-liberalni, dwa żywioły, ogłoszone z wszelkich uszcz moralnych. Związawsza o i ostatni, niejednokrotnie podeptani przez swego pana, wzgardzeni przez wszystkich, ciagle gotowi do najmu w nieonych przedsięwzięciach — nie zawiodą. Pójdą oni za rozkazem dalej, niż nawet Rada związkowa. Wo wprawdzie i ona odrzuciła uchwałę sejmni niemieckiego bez rozbioru i przyznała rządowi pruskiemu prawo wydalenia obcych poddanych, ale oparla się wyłącznie na względach formalnych, nie wchodząc w treść i moralną wartość strasznego rozporządzenia. Orzekła ona niejako: czy Bismark postąpił uczciwie, wypędzając niewinnych ludzi, nie badamy; przynajmniej tylko, że miał prawo tak zrobić. Narodowo-liberalni nie satrzymują się na tej formalnej grani-

cy, pochwalają wyraźnie okrucieństwo spełnione i domagają się większego — „pozytywnego.” A nie należy zapominać, że ta zgnila partya ma na swym sztyldzie wszystkie szczytne godła swobody, tolerancyi itd. Co zaś ona w imię tych godeł esoi, o tem można się tylko przekonać na granicy, gdzie wypędzeni się gromadzą. Jeden obrazek wystarczy za wiele. Biedną kobietę, która przed paru dniami urodziła dziecko, polioya pruska przygnała *pięsto* do Aleksandra w takim stanie, że bandarm rosyjski, ulitowawszy się nad nie-szczęśliwą, kazał ją odwieść do Włocławka — do szpitala. Najstraszniejszyż *wszak* że jest los tych, którzy nie byli poddany mi rosyjskimi a odstawieni przez władze pruskie na granicę, bywają odprawiani przez rosyjskie. Dostają się oni bowiem między dwa mury, z których wyjść nie mogą. Zwykle zaś są to ludzie bardzo ubodzy.

Oto, co się podobą narodowo-liberałom niemieckim!

„Pozytywne środki” zapowiedziane w mowie tronowej przeciwko polakom, jeszcze dotąd nie zostały wykozone w szczegółowym projekcie. „Co nam zabiorą — pisze korespondent pisma — jednej z gazet warszawskich — chyba skórę zedra.” Kto wie — może i zedra skórę. Dziś w Prusach wszystko jest możliwem — wszystko!

FRANCJA I ANGLIA.

Pomówmy też nieco o polityce — nie ze względu na to, że wiosna nadchodzi, ale na to, że wśród trosk zymu powszedniego, z kółka interesów najbliższych i kłopotów prywatnych, warto od czasu do czasu wygłądąć i sprawę sobie zdawać z tego, jak się obrucują kółła, w których tkwią i od

k których zalegać kółka najciszej prywatnie. „Polityka nas zalewa” — skarżą się ludzie. To było tak zawsze. Polityka zalewała ocean i prąjów naszych z tą jeno różnicą, że w czasach dawniejszych brakło świadomości politycznej, na kółkach spoczywały ciemności i ludzkie warunki nie sięgały po za granice wiosek i miasteczek rodzinnych, koleje żelazne nie zbliżały krańców Europy, druty telegraficzne nie opuszczały kuli ziemskiej, pieniądzą kursu nie zmieniali i cenna zboża amerykańskiego nie wywierała wpływu na wartość tego korca pszenicy, który Wojtek z Wólki Zapadłej sprzedaje na jarmarku w Pacanowie. Dziś Wojtkowi nawet polityka obchodzi — a cóż dopiero ludzi piśmiennych. Z tych tuł powodów pozwól sobie dotknąć przedmiotów w stosunku do dwóch państw, których położenie w chwili obecnej swraca na siebie uwagę.

Dwie są polityki, a raczej, dwójakiem jest na sprawy polityczne zapatrywanie się: gaziociarskie i historyczne. Pierwsze sunie wnioski i stawia wróżby na podstawie wypadków bieżących, nie zważając ani na przyczyny, których się one następstwem, ani na ogólny potrzeb i danejsze ludzkich kierunek, w który się one wplatają. Mąż stanu, co w gaziocię pióro do kreślenia artykułów wstępnych dzierży, nie wybiega myślą dalej, niż do dziejszego wieczora do jutrzejszego poranku. Inaczej być nie może. W życiu bieżącym, kto doczekał wieczora, czeka na poranek i interesuje się nim. Czytamy w dziennikach: „Cieszymy się! będziemy pokój mieli” — sprawa wschodnia rozwiązana: stary cesarz, który tylko co święcił dwudziestopiętą rocznicę swego na tron pruski wstąpienia, chce dla Europy spokoju i pragnie wypływ swój cały na utrzymanie pokoju obrócić. „Oczyw” w rzeczy samej rozwiązuje to sprawę wschodnią?.. Tak ze wszystkim i we wszystkim. Gaziociarstwo nie idzie dalej. Widok pokojowy wpływa na kursy papierów giełdowych — to dosyć i.. *apré nous le déluge*. Wedle tej metody pisał dziennikarz co do Francji i Anglii, ponieważ znajdując się one w położeniu, obniżając kursy ich papierów, wynioskowując stąd dla nich wróżby smutne. Niektórzy idą dalej: napadają na nie, oskarżając ich, obarczając zarzutami win, zbrodni nawet. I dziennikarstwo polskie, które, przez losy na stanowisku przedmiotem postawione, w tym względzie ostrożniejsze i wstrzemięźliwsze od innych być powin-

no, recytuje za panią matką pocierzą — i: „Hajzo na Soplicę!..”

„Francja — Anglia giną... Dobrze im tak: niech giną!”

Tak twierdzi polityka gaziociarska, którą historyczna odpowiada, że dwa te państwa; taką ważną w stosunkach europejskich odgrywającą rolę, nie giną, ale się przestawiają — przestawiając się, idąc w tym kierunku, który się bardzo wyraźnie zaznacza w postępie dziejowym.

Spółczesństwa ludzkie, w państwa przekształcone, nie wybrały sobie jeszcze (czy wybór kiedy?) formy ostatecznej, w której by się na zawsze krystalizowały. Nie sięgając myślą dawniejszych, niż Karola Wielkiego czasów — ilust to przekształcaniem politycznym Europa podlegała — jak państwa zmieniały się w swych formach i istocie... Francja Ludwika świętego, Francja Ludwika XI, Francja Ludwika XIV — Anglia Plantagenetów, Anglia Elzbiety, Anglia Wilhelma III: przedstawiają się, jako ustawiony ciąg rozwoju, który w następstwach swoich doszedł do czasów obecnych i oiensta. Może by lepiej było, ażeby ustał, jak sobie życzą niektórzy i jak (aczk nie całkowicie) ustał był w Chinach, co, kiedy to rzecz niemożliwa, ruch ów bowiem, polegając na podążaniu ku lepszemu i coraz to lepszemu, wszczęszy się w naturę ludzką! Praprapracjowicie nasi mieszkali po jaskiniach, prapracjowicie po szalassach, pracjowie budowali już sobie chaty z bierwion, ojcowie domy i pałace. Postęp, wnatrzony w nas, obejmuje całą sferę działalności cywilizacji i nie czyni wyjątku dla polityki. Jak się jaskinia przestawiała w pałac, tak dawniejsza Francja i Anglia przestawiały się w to, o czem są dziś. Tak być musiało i nie zaradzi na to wierszanie żądne, albowiem zmiany wypłynęły z natury rzeczy i dokonywały się nie dziś, to jutro. Dokonały się jednak dziś i oto tu sęk, o którym słowko rzec należy.

Francja i Anglia na drodze rozwoju dziejowego poszły przodem — wysłgnęły imie państwa europejskie, i przez to znalazły się w położeniu niekoniecznie dogodnem. Stanowisko takie jest do utrzymania nie łatwe. Francja je trzykrotnie zajmowała i dwa razy odfnęła się musiała, po raz trzeci zaś weszła na nie zmierzona, zgniecioną, obdarta i zaszechowana przez mocarstwa, które z topieli jej krwi wyrusło nagle, niby grzyb po deszczu. W warunkach tych musiała ona — w sobie się za-

knąć i narazić się na zarzuty, jakie czynią jej dziennikarze z powodu, że głos jej na powadze i znaczeniu w sprawach polityki zewnętrznej straciła. Tak — straciła! zastąpił go inny, nowolubny prziestoczność w kierunku odwrotnym i obwołujący „siłę przed prawem” nie innem, jak postępu właśnie. Skutkiem tego był odpływ postępowy, zapawował ton reakcyjny, pojawiał się poczęły „wikolaki” — u nas nawet. Zjawisko to, bezpodstępnie wypadków, które wypchnęły Prusy na stanowisko przewodnie w polityce, następstwem, przykre jest — nam zwłaszcza, dla których postępowi stanowią deskę zbawienia — askodę ogromną sprawiającym; ale ani się niem tworzyć zbytnie, ani rozpasy się oddawać nie należy. Jest to odpływ — nie co innego. Zdarzał się on już nieraz. Po encyklopedystach, Voltairze i Rousseau przyszli De Maistre, Bonald, Chateaubriand, odpływ pod naciskiem politycznym, odbył się na linii całej i po nim nastąpił przypływ postępowy, który w czasach naszych znów, a zawsze pod tymże naciskiem, usunął się, pozostawiając na wybrzeżu raki, skorpia i stworzenia inne, co się fali unosić dają. Tak samo uderza i ustępuje przypływ i odpływ reakcyjny. Zmienia jednak drogi. Dziś, ponieważ dwa społeczeństwa przodowe sobą zajęte przychylili, renkoya głos podniosła, grzmi i wózy: pohybł Francji, pohybł Anglii i pohybł postępowi!

Bajki! Ani Francja jeszcze nie przepadała, ani Anglia nie przepada. Przestawianie się jednej i drugiej odmiennemu szło drogami; szło jednak i idzie, gromadząc materiały, które się przydadzą w chwili, gdy uporządkowywać należyte zostaną. Ktoś powiedział, że rzeki wstecz nie płyną.

Francja po wojnie ostatniej w jaknaj-kłopotliwiejsem znajdowała się położeniu pod względem każdym. Przyjęła formę rządu republikańskiego dla tego, że forma ta „najmniej różni” i urządziła sobie „republikę bez republikańców” — za próbę. Nie — republikańskie dla republiki konstytucyjnej ułożyły i w warunkach tych na próbę ją pusieli. Trwa to już lat czterech.

W formach monarchicznych racjonalista targa się i wije, szukając sposobów zmienienia na dogodniejszą odzież, która swobodę jej ręków krepuje. Takim jest powód, dla którego Francja zabrad nie może głosu w polityce zewnętrznej. Uwagę jej pochłania całkowicie czynność domowa, wewnętrzna, mająca na celu takie uregu-

— Hm... tak... płał się język z zakłopotania.

Żona nawet nie wiedziała, że oprócz śpiewów nabrzmiałych żalem i groźbą, które z okien ich domku wyrwały się i biegiły za w bór, mąż jej działał jeszcze i w inny sposób... Raz z posród zarosi, po za płotami, ukazała się gromadka ludzi, postrojonych w siwe kurtki i czapeczki czworokątne, obłożone barankiem białym, przez ramiona mieli przewieszone strzelby myśliwskie, pojedynki i dubeltówki, za pasem sterczały pistolety i kordelasy. Szli, popisując z cicha, a każdy z nich nie więcej, niż dwadzieścia lub osiemnaście wiosen liczył, z wyjątkiem jednego, znacznie starszego od reszty...

— Idź z nami — nastawiali na Żurbe.

— Oczywiście zmyślił postradał! Ja mam dzieci i żonę! Po co nos wynosicie z lasu? Czy żaby was chlapi powiali?

— A to co? — potrząsali junacko strzelbami i kordelasami.

Zaproszeni w żywność przez Żurbe, za jego rąda, przedzierali się w głąb puszczy do szarego wojska ze szkoły „podechorych.” Żeby ich powiodło...

W tym czasie Żurba prawie w domu nie siedział, ciągle posyłał w różne strony przez dziedzica... Smolarnie powierzył pomocnikowi. Nigdy tyle, co wtedy, niewy-

ciórpiła jego żona z trwogi o męża i o porządek. Łatwo mogło nastąpić podpalenie, bo chlapi czuli się wolnymi i byli pieniżkami nędzej. Lada co ich roznosiła, przypominając krzywdy niepomieszczone... Krnąbrność dochodziła do ostatecznych granic, podszczuwaczów było dużo w każdej wsi.

— Teraz nasza kolej, nam panować — dawali się słyszeć okrzyki podlegające wśród cichy kłusów, zaszkoczonej przez wypadki znielazna, tęskniącej za czemś i ludzonoj.

I stało się wedle przeoczeń Żurbin, Ciemności jednej nocy pierzebiły przed luną, umknąwszy na dalsze krancie nieba, gdzie w kir się zmieniały. Rozległ się brząsek płomieni, trawiących drewno, powstał huk od spadania kadzi, rury miedziane się topiły a ogień beczek ze smolą siegał daleko. Biedna kobieta, sama jedyna, traciła przytomność i ustać nie mogła na nogach, podkaszających się. Dławić, wyniesione z mieszkunia na breg lasu, dwutry i esteroliety, leżały w śnie gorączkowym na swych pościółkach, wlepiając szorokoro rozwarł i duże oczy w krwawą lunę. Gadano później o człowieku, co mrozącą się za smuniemie ogładnie „saur” lueczywa, podpalił smolarnię. Żaden chlup ze wsi, odległej o cztery wiorsty, nie spieszył na pomoc. Niejeden, wyciągnięty

4)

POWIEŚĆ.

ZA TRZDZIESTOLETNIA PRACĘ.

III.

Zbliżył się czas wyzwolenia chłopów, kraj ogarnęła gorączka pamiętna... Młode pokolenie szlachekkie i mieszczańskie rozbiegło się po lasach... Obłędowa Żurba, mający mało powodów do niezadowolnienia, nie wzięły żadnego udziału, gdyby go nie przyspagniono. Ledwie mógł oderwać się od kielicha, kart i kobiety. Żurba, u którego zebrania częste i za liczne bywały i śpioły rozległy się, wyrwał go ciagle... Dziwiono się, skąd tyle broni wisiało u niego na ścianach? co znaczyły zapasy prochu?

— Bo też nie wicie — tłomaczył — że teraz więcej, niż kiedykolwiek, trzeba strzedz lasy. Chłoptawo uwolnione od roboty, wiele złego może się dopuszczać...

— A to guzikieś z ptakiem jakimś, o rektym?.. Wiem już! Zapewne do sukman leśników?..

lowanie stosunków, ażeby (przepraszam za figurę retoryczną) tabakiera była dla nosa. Rzeczy takie nie robią się na skienienie różnic! czarodziejskiej—w społeczeństwie zwłaszcza, złożonym tak jak francuskie w żywiołach, wnoszących do roboty pierwsi zasadenie różnorodności, którymi nasykają w czasach i w okolicznościach rozmaitych. Z pierwsiwisk tych każdy występuje z roszczeniami. Potomkowie ryccy krzyżowych domagają się pierwszeństwa, koscioł upomina się o przewodnictwo, mieszczaństwo walczy o władzę, klasa robotcza woła o prawa do chleba. Wszystko to rozbiła się na stronictwa: monarchiczne takie i monarchiczne inne, klerikalne takie i klerikalne inne, a dalej—demokratyczne cieniowite rozliczenie i zaznaczenie się barwami, których szereg zanika pomyłki koloru, znamionując milośników zwoła jaskiniowego. Stan taki rzeczy jest wyrazem fermentu, poprzedzającego zesposunkowanie się pierwsiwisk, i w takim stanie rzeczy celom najważniejszym jest regulowanie spraw wewnętrznych, pochłanianie uwagi i zabierające czas. Francya obecnie zajęta jest rozwiązaniem zadania bardzo ważnego—stosunków społecznych. Zadanie to nie ją jedną tylko obchodzi. Nie miewmyż do niej pretensyi, że dwóch rzeczy na raz jeden nie robi i że, dla spraw wewnętrznych od zewnętrznych uwagę odwraca. Materyałów do rozwiązania zadania przysposobiła sobie już sporo i żywoć jeno należy, ażeby je właściwie użytkować umiała. Obecny skład lęba, do tego właśnie że stronictwo radykalne przedstawia się w niej pod względem liczebny poważnie, spodziewać się kase, jeżeli nie zmian, to bodaj przerobek w konstytucyi takich, które Francye wyprowadzą naroszenie z zakłętego koła próby na obszar działalności, pozwalającej jej zajęć przedmiotowo w postępowym ludzkości pochodzie. Ku temu idzie, Ferry'owie i Freycinet, Freycinet i Ferry'owie, lubo w szczegółach błędzić mogą, w kierunku tym jednak ją prowadzi, kontrolowani i popędzani przez ogół. Francya, politycznie osamotniona, w sobie zamknięta i fermentująca, jeżeli z wżenia tego wyprowadzi odpowiednia państwa nowożytnego formacyi, zasłuży się ludzkości lepiej, aniżeli gdyby jej ministrowie spraw zagranicznych z retoryką się popisywali. Może celu nie osiągnie, może osiągnie, może ją co o kółko zepchnie na drogi wsteczne wpędzi: wszystko to

stać się może, ale droga pochodu jej obecnie jest droga, na którą ją dziejowy rozwój wprowadził i na którą, gdyby się nie zesła, powrócił by znów musiała.

Anglia znajduje się w położeniu takim prawie samem. Francya szła naprzód rantami rewolucyjnymi; ona rewolucyi spróbowała, przeniosła ją następnie na grunt parlamentarny, na którym rewolucya przybrała charakter rozwoju postępowego, powołnego a ciągłego. Tamta się rzucała i cofała; ta się cofać nie potrzebowała—swobody jedną po drugiej zdobywała i zdobyte spożytkowywać umiała. Trybem tym postępując, dokazała tego, że stanęła obecnie na punkcie równowagi, pomimo temu, jaki sąsiadka i współzawodniczka jej zajmuje. Różnica polega na formach; w istocie rzeczy jednak Anglia jest rzeczpospolitą monarchiczną, jak Francya; królwa Wiktorya kosztuje naród drożej, aniżeli pan Grévy, ale udział jej we władzy nie jest zgola większy. Król panuje, nie rządzi; rząd spoczywa w rękach narodu, wybierającego przedstawicieli swoich i rozstrząsającego sobie stopniowo prawa wyborcze tak, że obecnie mało jej już do głosowania powszechnego brakuje. Porównanie przeprowadzić się da całkowicie w liniach ogólnych, przeprowadzić się da aż do chwili ostatniej, w której ta sama przyczyna zewnętrzna (wysunięcie się Prus na czoło spraw politycznych) i podobna wewnętrzna (szukanie klucza do rozwiązania zadania stosunków społecznych) wyparły ją po za stórę wpływów na politykę europejską. I ona zamknęła się w sobie. I w niej rząd ma ręce związane przez stosunek stronictw parlamentarnych. Ani gabinet konserwatywny, ani liberalny na większość liczyć nie może, albowiem, jak gabinet pana Freygeta z radykałami, liczyć się musi z irlandczykami, żądającymi odmówianej im przez wielki ciele sprawiedliwości. W ten sposób Anglia stanęła na progu radykalnej w ustroju wewnętrznym państwowym zmiany. Przytemśwa centralizacya, uwaśniona dotychczas, jako główna podwalina potęgi monarchatwo-wej, kona. Sprawa ta na porządek dzienny stanowczo weszła i domaga się zaktwienia, którego dłuższe odkładanie narzobił Wielka Brytania na całkowitą utratę wpływu zewnętrznego.

Próbowując obecną połozenie Francyi i Anglii, widzimy, że jednakowe przyczyny doprowadziły w dwóch tych przedziayach na drodze postępu państwów do wy-

ników jednakowych. Przyczyny to ciągiem jednym układają się na drodze pochodu dziejowego; następstwa zaś, rozpatrywane z punktu polityki gaziarskiej, mają taki pozór, jakby dwa te monarchatwa su upadkowi się chyliły i bliskie były spadnięcia na stanowisko drugo, trzecio-rzędnych. Jest to jednak, po prostu, złudzenie optyczne, pochodzące z zaciśnięcia widnokręgu, w którym obraca się polityka tego rodzaju. Horyzont dziejowy rzecz tę przedstawia inaczej. Zatrzymanie się na etapie nie stawia zgola za sobą osłabienia i upadku—przeciwnie: temu, co pochód odbywa, odpoecynek jest potrzebny. Przypatrując się Francyi i Anglii, nie wiada, ażeby one w sobie—w istocie swojej—osłabły. Nie ubyło im nie z tych materyalnych, moralnych i umysłowych zasobów, które się naródów stanowią—nie ubyło nie i, jeżeli weźmiemy na uwagę reformy nie inne, tylko wychowawcze, jakie w czasach ostatnich po tej i po tamtej stronie kanału La Manche wprowadzone zostały, do tego pociesającego dojdziemy wniosek, że zasoby owe spożytkują się odpowiednio i należyte. Do wniosku tego i ta jeszcze doprowadza okoliczność, że Prusy, spotępiwszy potwornie, zwróciły się w kierunku wstępnym. Doświadczenie uczy, że reakcy za podjęte służą. Wstępnosc pruska podnieca we Francyi i Anglii postępowość i wywołuje spłazwodnictwo, którego wynik ostatnioczu wytlpimny być nie może, dla tego bodaj, że w samych Niemczech istnieją żywioły postępowe, odpowiadające francuskim i niemieckim. Zgluszone są dziś one i dawno nie; istnieją jednak w postaci ziarn, którym potrzeba tej konieczności dziejowej, co ludzkość nie w tył, ale naprzód i wciąż naprzód popycha, amarnie w glebie nie da. Fala, co odpłygnęła, powróci—większy Bóg, aniżeli pan Rymsa.

T. T. Jez.

Z FRANCYI.

Paryż, 23 stycznia.

Początek nowej sesyi parlamentarnej. — Orędzie prezydenta i deklaracya ministeryala. — Reformy zapowiedziane przez gabinet. — Skrajna lewica.

Korab parlamentarny francuski wyrzucił już na pełne morze i plynie z rozp-

z chaty lęba, popatrzyć w stronę pożaru obojnetnie, podrapać się i rzekł:

— Smolarnia się pali. Niechaj sobie...

— Aj, aj! gorę! gascie! — krzyzał zaspasy, nieprzytomny parobek, porwawszy się za tęczana.

— Cicho tam, głupci! Czego ludzi straszysz? Spij! — uspokajaj kłós.

Nastął dzień pogromu, dzień sądu dla kraju... Do innych plac dołączyły się i donosicielstwa. Kodeks groził za milczenie karą ciężką, oczekiwane były nagrody, nie zbawiało nienawidzonych i nienawidzących, więc donosiciele mnożyli się... Był we wsi najzabarższy podaszczuwan, Apama Han-car, pastuch, który porzysnął zemetu Żurbie i śledził go. Pewnego dnia, gdy swoim zwyciężym zapuścił się z bydkiem gminy w głąb lasu, pod jednym bykiem zawadziła się ziemia. Znajrzał w otwór i ostrzegł coś blyszącego. Pomachał biczyskiem — dźwięk kruszczeń dół się słyszeć. Rozkopał i miał przed sobą dół, pełny broni. Zamyslił się pastuch mocno, aż o bydle zapomniel. Zmierzkał odległość smolarni i mieszkanka Żurby od miejsca odkrytego przez siebie i doniósł wójtowi, ten zaś — naczelnikowi powiatu.

Miał potem Francja gości. Przetrząsnięto mu wszystkie kąty, a następnie uwieziono. Pana marszałka, chlebowadę Żurby, osadzono również w kocio.

Biedna Żurbina! Opuszczona była z wzrogiem dzieci nieletnich i w niemaz rozpacz, że może od niej na zawsze oderwano. Przedtem żyli dostatnio. Żurba pobierał, razem za zarząd lasów i pędzenie smoly, osmset rubli, a przytem jeszcze dwa procenty od dochodów dostarczanych dziezioci. Niskie to były odstetki, a dochód raz podnosił się, drugi raz opadał. Honorarium więc starożyło tylko na zaspokojenie potrzeb. Żurba nie miał zmysłu przeczności, na dui wyczerpania się sił prawie nie oddkładał, ani majątku nie robił. Inni ludzie, będący na takim samem stanowisku, co on, opuszczali swych chlebowadów z pełnami kiesiami, a potem brali w dzierżawę majątki, płacąc wysoki czynsze. Za to powszechnie o nich nienmiemano, że wzrost swój krakdzko zawiązowali. Nie jeden chlebowadca, widząc nawet, że jest okradany, nie mógł się często oprzeć urokowi, jakim podobni oficyaliści byli otoczeni, ulegając sprytowi i dzielności. Pociąg do nich równał się pociągowi względem żyda — arendarza — oszustu. W czasie herbaty, obiadu i wieczery gadano o nich po palasach ze wstrętem, wystawiając sobie ich grubość obyzojacji i nieuczciwość, a jednak ilekroć oko w oko z nimi stanęli, rozbjarni byli płaszczeniemi się tych ludzi i jakimiś zacięciem praktycznem. Znać zaradność takiego oficyalisty

względem siebie dawała dzieziociom tępym rękoięć dobrego prowadzenia ich własnych interesów?..

Żurba nie kradł i był hardy. Zawsze sumiennie i często zdawał rachunki, więc gdyby naraz utracił posadę, rychoł popadł by w nędzę, a jeśliby umarł, żonę i dzieci spotkałby los opłakany.

— Pani łaskawa powinna się zajęć dola żony i dzieci Żurby — napomknął raz ktoś dzieziociu.

— Za wielkie wymaganie! Ocz mi, obywałe, winniemy, że „ekonomizmi“ sprowadzili niebezpieczeństwo na kraj? Nawarzyli piwa, niech piją!

Tak odpowiadała pani marszałkowa, wychowana niegdyś u sióstr „Soreanek“ w Krakowie. Kazała jednak dawać żywność rodzinie Żurby ze swych opichrów i spiskarł, bo ulekną się opinii ogółu. Żurbina gorzkie i smutne chleby przeżywała, pognebniona i zaplakana ciagle. Dzieci starsze dorastały, należało do szkół je oddać, a nie było za co. Starszego syna miała ochotę wziąć na wychowanie bratowa, ale od chwili, jak starsza córka Żurbiny, skończywszy u niej pensyę, umarła z suchości, bała się, czy to samo nie spotkałoby i syna. Widziała, jak dzieci z dniem każdym oblaćmianiali się; że nie mogła takich lanych, jak przedtem, sprawić im suk-

tomi żaglami ku ziemiom nieszanym. Światło rozpoczęła soya z nową Izbą, nowym gabinetem, nowym prezydentem Republiki — w pełnym biegu. Spietrzyży się już nawet pierwsze fale trudności, których nie zabraknie w dalszej drodze...

Odjazd atoli w tę podróż parlamentarną był bardzo obiecujący. Przyswiewały mu różowe blaski jutroczki — przecież to początek nowej kadencji — sam wielki mistrz oceremonii błogosławił odjeżdżających, a publiczność zebrana na brzegu i cały tabor podróży był gorąco oklaskiwał załóżce i kapitanowi tej nawy republikańskiej, gdy naczelnicy jej sternik wyłożył zgromadzonemu cel nowej wyprawy.

Mówmy jednak bez przenośni. Soya rozpoczęła się oczekiwaniem ogólnikowego orędzia Grewego. Rzeczywistym zaś programem rządowym była deklaracja, wygłoszona anaszyt przez nowego prezesa gabinetu p. Freycinet. Według niej rząd postara się przywrócić zachwianą karność w szeregach biurokracji republikańskiej (wyborcy), kler katolicki energicznie powściągnięty będzie w swych wrogich względem Republiki zabiegach, budżet uporządkowany bez zaciągania nowej pożyczki i bez nakładania nowego podatku, wiele spraw bieżących zostanie załatwionych — a wszystko to tylko na początek! Tak jest, na początek, gabinet bowiem wyrażał dla jeszcze do zrozumienia, że pracować będzie nad przygotowaniem nieodzownego w przyszłości oddzielenia kościoła od państwa, że zajmuje się wprowadzeniem postępowego podatku od dochodu... Prócz tego p. prezes gabinetu wypowiedział jeszcze kilka zdań, niesłychanych zwykle z ław ministerjalnych, że Rzeczpospolita nie może stać bezwładnością itd.

Deklaracja ta została doskonale przyjętą przez całą Izbę; na skrajnej lewicy oklaskiwano ją nader gorąco, a Rochefort pisał nasazując, że nader prasie wystąpił gabinet, który coś zapowiada, i żyćcy mu powodzenia. Przyjęcie to świadczy najlepiej, jak niewymagający są radykalisci francuscy, a jednocześnie, jak rzadko trafia się we Francji gabinet z jasnym programem, niezasadzający całego swego zadania na stawianiu tam dymionym reformatorskim. Punkt ciężkości rządów republikańskich od samego zaprowadzenia trzeciej Republiki przenosi się wciąż coraz bardziej na lewo i nie wiadomo, na jakiej

skrajnej krawędzi się zatrzyma. Zachodzi wszakże pewna obawa, ażeby i teraźniejszy gabinet, który w swej deklaracji wykażwał wiele politycznego zmyślenia, nie użył się — jak poprzednie — na niepopularnych drobnościach. Przy samym wstępie do obecnego okresu parlamentarnego mówiono wiele o amnestyi. Skrajna lewica zawarła nawet za tę cenę rodzaj przemierza z umiarkowaną partją republikańską, obiecując zaniechać wniosku o oskarżenie Ferrego. Zgodziła się na to w zasadzie cała lewica, nuchwała tę nawet osoba deputata przedstawia w swoim czasie — bezskutecznie — poprzedniemu gabinetowi... Sprawa tedy amnestyi za przestępstwa polityczne i prasowe była dojrzała. Skoro tylko zebrał się gabinet, podniesiono ją znowu; niektórzy z ministrów przemawiając za nią, większość jednak ogólnie oceniła się, pozostawiając nowo obranemu prezydentowi Rzeczypospolitej doborą sposobność rozpoczęcia nowego okresu swej władzy. Grevy skorzystał z tego istotnie, uciekł się jednak do półorodka; zamiast bowiem amnestyi, onowad, ukłaskiwał pewną liczbę więzionych. Ułaskawienie przywraca tylko swobodę, nie przywracając praw politycznych, nadto skrajna lewica zobowiązała się wobec swych wyborców postawić w Izbie żądanie amnestyi całkowitej i nieograniczonej.

Rząd tedy połowicznością wytracił sobie z rąk popularny środek, Rochefort zaś, w imieniu skrajnej lewicy postawił w Izbie wniosek o amnestyi i uzyskał twój nagłośnić większość trzech głosów. Zapowiadano, że gabinet zajmie w tej sprawie stanowisko obojętne, pozostawiając Izbę uzupełnienie łaski przeżydłajnej. Ministrowie jednak nie wytrzymali i w toku rozpraw zabrał głos Goblet, znany z zakazu Germaina Zoli na scenie, oświadczył, że gabinet sprzeciwia się stanowczo amnestyi. Dzięki temu wystąpieniu, ministrem znalazło się w pierwszym dniu obrad w mniejszości. Nieszczęśliwy początek. Nieprzejednani, widząc, jakie się usposobienie dla popierania przez nich sprawy w kołach rządzących i oportunistycznych, wstawili w swój wniosek o amnestyi wykroczenia podczas ostatnich wyborów, przez co uzyskali poparcie prawicy. W dodatku Goblet nieaktownym przemówieniem tak ją rozdrażnił, że cała prawica głosowała za Rochefortem i przychyliła się do jego zwycięstwa. Jest to wprawdzie dopiero uchwała, tyocząca się

nagłośnić, nie przestaje atoli być dla całego tego zająca charakterystyczną.

Wniosek Rocheforta obejmuje również ararów, skazanych w kilku rozrachach między rokiem 1865 — 1880. Podczas obrad podnosiły się głosy, protestujące przeciwko stawianiu ararów algierskich na jednej linii z obywatelami francuskimi. Oci ostatni — to właściwie przestępcy państwowi, tamci polityczni... Jeden z posłów algierskich (nie arab oczywiście) i sam minister odpowiadali w Izbie, że arabowie dopuścili się najokrutniejszych morderstw, że na żadne względy nie zasługują itd. Zarzuty te zbili Rochefort następnie, wykazując, że ci z pomiędzy ararów, których przekonano o jakimś morderstwie, skazani zostali na karę śmierci, deportowani są zaś ci tylko, których skazano za samo uczestnictwo w buntowniczym ruchu... Gdy redaktor *Instruimenta* przebywał w Nowej Kaledonii, po komunie, spotkał tam ośmdziesięciu ararów — odcari ze wszystkiego (wiele od lat już piętnastu) pokutowali za udział w ruchu, którego pobudki i przyczyny istotne nie zostały dokładnie zbadane.

P.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, 23 stycznia 1886.

Ostateczny los wniosku Romaszuka.

A więc komedya skończona! Uchwała z d. 19 stycznia wniosek Romaszuka w sejmie lwowskim został ubity. Po tych głosach rozprawach, mniej lub więcej świętych przemowach, uroczystych zapewnieniach, że odtąd sprawa rusińska musi posunąć się o krok naprzód i dotychczasowe to musi być choć w części naprawione, sejm wreszcie postanowił: zostawił wszystko po staremu a rusinów było czem. Bo rzeczywistnie powzięte d. 19 stycznia uchwały mają wcale niewielką wartość praktyczną. I tak pierwsza dotycząca szkół ludowych, brzmi:

„Jeżeli w jakiej miejscowości o mieszannej ludności, używającej w części polskiego a w części rosyjskiego języka jako towarzyskiej, ludność, której język nie jest wykładowym w żadnej z miejscowych szkół ludowych, stanowi co najmniej

i chwile zarządu lasami Zazorskich. Dawniej znać było więcej nie teraz. W miarę przybywania dzieci, czuł się zaśniejszym. Dziedziczka krzywo patrzyła na ludzi z rodziną, wolala beżennych, bo mniejszą płacą żyć ich łatwiej było. Ilekroć zadrażnięto go w dumie, śmiał się:

— Gdyby nie żona i dzieci, ruszyłbym w świat! Słubu przecież nie brałem z marszałkow... Dużo jest lepszych na świecie miejsc...

Wyobraź sobie szerszy świat lepszym i smuteczne obrazy, a serce musiejszynie uderzało i płuca głębiej się otwierały na przyjęcie powietrza.

Z wielkiem coraz większym podantem się stawał w wykonywaniu pracy. Donawał wielkiej rozkoszy, gdy gruntownie i dokładnie cokolwiek mógł zrobić. Szczególnie w budowaniu wszelkim ujawniała się ta cecha jego charakteru. Za to powoli dobiegał do końca, wywołując niezadowolone zwierczników.

— Ależ to niedołęga jakis! — wyrażała się o nim dziedziczka. Naraza mię na stracie czasu i koszty zwycięznie!

Odbuwający smolarnie, koniecznie dążył do tego, żeby podobną była do dawniejszej. W czasie jego nieobecności, aży jakis kłescił na przedzie „smolarke“ lichą, w której ani dachu nie było, ani ścian. Na ro-

nek, miała serce ścięnięte. Mózg świdrowany myśli rozpaczali, głowa się obwiała, ciężka, na piersi kamień legł i sen nocami odlatywał.

Zurba tymczasem w więzieniu drugi rok siedział. W starych celach dawnego klasztoru było wilgotno, więc gościec rozwinął się w migieśnie i szarpł je boleśnie. Lewa noga iręka była szczególnie dotknięta. Z pomiędzy wszystkich więźniów, Zurba najeźdźniej wygniał pościele łóżek szpitalu więziennych. Niczego mu nie dowiedziono i mógłby być wolnym, lecz potrzebowano poręki, a nikt jej nie dawał. Dzieńdo obciwiał ją, ale dogorywając z suchot dżen kregowego, zapomniał. Współtowarzysze więźniów wracali do rodzin, ożsieliwi, on zaś, samotny i gubiony tęsknotą za żoną i dziećmi, siedział jeden.

IV.

Wrócił z brzemieniem pięćdziesięciu dwóch lat przeżytych, z reumatyzmem w ciele, z gorączką w sercu, złamany na duchu. Znalazł żonę wynędzniałą, z oczami od łez wypłowiałymi, dzieci lichu odziane, a sprzęt każdy obłostem uspiętnowany. Pan marszałek już nie żył, pani marszałkówna zaś zaprowadzała oszczędności, chcąc oczyścić majątek z długów, zaciągniętych

przez męża. Dawne swoje miejsce nadleśniczego zastał zajętem przez kogoś innego.

Dano mu posadę dozorczy nad smolarnią, z trzyszt rublami płacy. Jako zaś smolarz, był zależnym nie od chlebowadawcy bezpośrednio, lecz od nadleśniczego. Ten był młody jeszcze, bo miał dwadzieścia ośm lat załedwie. Zurba zaś, co doszedł pięćdziesięciu dwóch, pod jego zwierzchnictwem zostawał musiał. Bolało go to. Piętnastka lat sam zajmował tę posadę, zaprowadził ład w lesie, nadał kierunek gospodarstwu, a teraz przybył z dalekich stron „młokos“, na wytkniętą już drogę z łatwości będzie pracował. Rozszalał, czekał niepowodzenia swego następcy. Nie doczekał się jednak, bo Gargulski, choć młody, był człowiekiem zręcznym. Brał niską pensję, lecz ciągnąc z lasów dochód dla dziedziczki, pamiętał o sobie. Ślady zaś kradzieży zaczęłał złęcznie, prowadząc odpowiednio rachunki przychodów i rozchodów. Gadano o tem chlebowadawcy, lecz Gargulski był ładnym chłopcem i wkrótce zyskał nad nią wpływ wielki...

Zurba zaś prawy i hardy, jak zwykle, z żoną i czworgiem dzieci pedził smole z trzyszt rubli rocznie. Coraz bardziej posępnił, gdy porównywał dawne swoje położenie z obecnem, pierwszą służbą w Wirszajli, czasy dzierżawy w Żydkowicach

cawartą część ogółu jej mieszkańców, w miejscowościach zaś za ludnością wyżej 12,000 dusz, sięga do 3,000 dusz, a znajduje się tam dwie lub więcej szkół ludowych dla dzieci jednej płci, to przynajmniej w jednej szkole, a w razie jeżeli istniejąca jedna tylko szkoła posiada klasy z współrzednych oddziałów, to w nowoutworzonych tego rodzaju oddziałach wykładowym winien być język tej drugiej części ludności, o ile z dochodzenia w myśl ustawy przedsięwziętego i wskutku zapisów do szkoły się okaże, że w gminie przebywa dostateczna ilość rodziców, którzy pragną, swe dzieci w wieku obowiązującym do szkoły będące, posyłać do takiej szkoły lub takich oddziałów.

Żeby to przetłumaczyć z dokładnego na zrozumiałe, wozwijmy statystykę szkół ludowych w Galicji. Wedle wykazów Rady szkolnej krajowej mamy w Galicji 1212 szkół ludowych z językiem wykładowym polskim, 1,378 z rusińskim, a 86 mieszanym. Zważywszy, że ludności, używającej polskiego języka w Galicji, wedle ostatniego (grubo pofalszowanego) spisu jest 3,058,400 głów, a używającej języka rusińskiego tylko 2,549,707, zdawałoby się, że pod względem językowym nie rusińskie, lecz polskie dzieci są pokrzywdzone. Tak jednak nie jest, gdyż największą część polaków w Galicji wschodniej mieszka w miastach i miasteczkach, gdzie szkoły ludowe są cztero lub sześcioklasowe i nadzwyczaj licznie uszczuplone; wszystkie zaś te miejscie (z wyjątkiem jednej, niedawno po ciężkich przeprawach we Lwowie przez rusinów zdobytej) mają język wykładowy polski. Zdarza się więc tak, że miasteczko, jak np. Horodenka, w którym na 11,011 mieszkańców jest 5,840 rusinów, tj. więcej niż żydów i polaków razem wziętych, niema szkoły rusińskiej. Nowo przyjęta ustawa nie będzie się więc odnosiła do wsi, lecz jedynie do miast i miasteczek i ogranicza dawniejsze rozporządzenie ustawy, że o języku wykładowym w szkole ludowej rozstrzyga ten, kto ją utrzymuje. Ponieważ w miastach i miasteczkach czyniła to i czyni dotychczas zwykle rada miejska, radę miejską sąsiedztwa wyłączenie składają się z polaków i żydów, przeto nowa uchwała sejmowa wola ich o tyle będzie ograniczoną, że prawa ludności rusińskiej, nawet niomającej w radach miejskich swej większości ani swych przedstawicieli, na tej drodze będą zawarowane. Dla rusinów uchwała ta oznacza

przybytek kilkunastu szkół lub klas równoległych—zdobycy wcale nie wielka. Mimo to jednak poslowie rusińscy w całkiem należytym zrozumieniu swego zadania przyjęli i to więcej niż skromne ustępstwo, przekonywając tem dowodnie, że im nie szło o czcze demonstracje i waśnie, lecz o realne, chociażby i najdrobniejsze korzyści dla swego narodu. O mówię—„przyjęli!” Uchwała zapadła 65 głosami przeciw 58; rusini głosowali za nową ustawą i wspanie ich głosy rozstrzygnęły; bez nich wniosek byłby upadł zupełnie.

Daleko ważniejszą i donioslejszą część wniosku p. Romaniszuka dotyczyła szkół średnich, mianowicie gimnazjów. Zgadł on z początku oddziałów równoległych z rusińskim językiem wykładowym tam, gdzie znalazło się najmniej 25 uczniów rusinów w jednej klasie; później, opierając się na wniosek rządowym, zażądał zaprowadzenia drugiego rusińskiego gimnazjum w Przemyślu. Jedno i drugie żądanie sejm odrzucił, uchwalał natomiast, że „w szkołach średnich lub ich oddziałach z językiem wykładowym rusińskim nauka języka polskiego, a w szkołach średnich lub ich oddziałach z językiem wykładowym polskim, nauka języka rusińskiego jest *względnie obowiązkiem*, w tem znaczeniu, iż na wyraźne żądanie rodziców wolności nauczyciela każdego ucznia od pobierania nauki drugiego języka krajowego, nie będącego dla niego językiem wykładowym.” Dotychczasowa ustawa mówiła, że uczy się rusińskiego języka i rusińskiej literatury w gimnazjach ma tylko ten uczeń, którego rodzice przy wpisie wyraźnie to zastrzegają; teraz zaś uchwalono, że u wolnościowców nauki rusińskiego będzie tylko ten, którego rodzice takiego uwolnienia wyraźnie żądają. Czy i jak będzie praktyczna doniosłość tej zmiany—czas pokaże.

Z rozpraw nad wnioskami Romaniszuka wyłonił się jeszcze, jak już wspominałem, wniosek p. Maleckiego o dwoistości w szkołach średnich. Wniosek ten prawie jednogłośnie został odrzucony do wydziału krajowego, który ma go wspólnie z radą szkolną bliżej rozpatrzyć i na najbliższej sesji sejmowej przedstawić sejmowi pozytywne wnioski w tej mierze. Tak więc sprawa rusińska i nadal jeszcze nie zejdzio z porządku dziennego.

L. Franko.

botników ład deszcz, padał śnieg, kiedy cylindry nadawożyli lacywem. Z przodu gorąco im było od pieców, a z tyłu wiatr mroźny dał w plecy. Kłeli żydn. Żurba zaś zbudował gmach duży, o ścianach przystających mohem, żeby niepogoda nie dokuczała najemnikowi. Podciągało to za sobą koszty i niezadowolenie Gargulskiego.

— Niech pan nie zapomina — stróżwał Żurbe — że pani marszałkowa nie żyje sobie pafan, lecz smolarni! Po co ten gmach? Patrzeć państwo, ściany jakie, a dach! To kosztuje!

— A ja radzę pamiętać o robotnikach! Wszak to ludzie, nie bydło? Sam także muszę oglądać roboty, a nie chciałbym się wystawiać na mroź i deszcz. Wreszcie nawet proces pędzenia smoly wymaga dachu i ścian. Czy będziecie pan miał dobrą terpentynę, gdy każda kład deszcz obiele lub gołobędź zetnie? Rury — to miedź, a obręcze są z żelaza? Wilgód je prędko w nieważ potrafi obrócić!

Zwierzchnik odjeżdżał zły i przekorny.

Łiche wynagrodzenie dokonywało swego. Żurbowie żywili się nędznym pokarmem: słonina, mażone stawy i mleko przaważyły im się posilkui, choć często i tego brakowało. Miego wolowo bardzo rzad-

ko jadali, bo rekniey z sąsiedniego miasteczka nie chcieli już kredytować, za dużo posiadając kwitów. Tak samo było z cukrem, herbatą, świecami, naftą i tytoniem. Ponieważ Żurba brał je na kredyt, więc żydzi z obawą dawali, a czasem zgola nie udzielali. Ciężar smutku przynębiał wtedy tę biedną rodzinę. Zamiast świec i lampy, żarzyły się węgle na kominku lub palily się cienko łupane listewki sosnowe, wetknięte gdzieś w szparę ściany. Zamiast herbaty z cukrem, pili ją czay, dziewianę lub odwar gorzkaawy, barwy kawowej, ze spalonych skórek od chleba, z miodem. W braku tytoniu Żurba wydobywał stare, pajęczyny powleczone, łodzy tytoniu domowego, szatkował je i palił. Gdy pyknął kilka razy, twarz jego się wypogadzała. Z czasów dobrobytu pozostało im kilka krów, jałówek, buhaj i dwa konie. Była to pociecha w niedoli dla Żurbiny, ale nie na długo. Buhaja, dwie krowy i trzy jałowki żydzi zabrali za długi, została tylko jedna bura krowa i dwa konie, z nich jeden zdołał później. „Bura” nawet w zimie miała zawsze wymiona nabrzmiałe mlekiem, za co strzeżli jej, jak oka w głowie, jak prawej ręki „Siwy” nosił im drwa i siano. Raz w zimowy, mroźny i krwawo tarczy słońca poranek nie stało konia: leżał u słońca zimny i odcyły. Żurbina krzła. W sercach wszystkich taki smutek i cie-

Zalodwie dyplomacya europejska jako tako uporała się z Serbią i Bułgarią, kiedy to występuje znów Grecya i zaczyna warzyć burząco się piwo. Rząd ateński prowadzi dalej uzbrojenia i oświadcza, że w razie uznania unii bułgarskiej upomni się stanowczo o prawa narodu greckiego. Dla uspokojenia tych zachcianek Anglia przyjęła na siebie rolę surowego opiekuna i oświadczyła, że flota brytyńska wystąpi przeciw Grecyi, jeżeli ta nie zaprzestanie uzbrojeń. Prezes gabinetu Dolyanias odpowiedział, że nie może iść wbrew woli narodu i wydał natychmiast rozkaz, żeby flota wypłynęła na morze. Krok ten uważano zrazu za wojowniczą demonstrację, okazuje się jednak, że był on tylko środkiem ostrożności; przeczni grecy obawiali się bowiem, żeby anglicy nie zamknęli ich okrętów w portach i nie zniszczyli floty, zwłaszcza że najnowsza historia przedstawia kilka przykładów podobnego postępowania Anglii. Na prowadzenie wojny grecy nie odważą się; pragną jednak wkład stosunków i szerezy niepokój, sądząc, że albo wytarngują co w ten sposób, albo też wywołają powszechną zawieruchę, podczas której urwą jakiś kawałek „odwiecznego dziedzictwa helenów.” Laury Mileyadesa bułgarskiego odbierają sen Tomistoklesom nowogreckim. Rząd ateński tem śmiejąc prowadzi swoją politykę, że może liżnąć na poparcie niektórych państw. Pomimo bowiem zapewnień o zgodzie mocarstw, Francya i Włochy zajęły odrębne stanowisko i oświadczyły, że nie zgadzają się na wystąpienie zbrojne Anglii; to samo zdanie wypowiedziano organy stronnictwa liberalnego angielskiego, które lada dzień przysięść może do władzy.

Serbia wyrzekła się wojowniczych zamiarów. Austria, która podobna była do zbrojnego napadu, zmieniła front i groźbą nakłania do pokoju. Ponieważ Turcy, która przy układach działa w imieniu Bułgarii, nie domaga się ustępstw terytorjalnych i zerzeka wynagrodzenia, pokój zawarty na warunkach powrotu do poprzedniego stanu rzeczy uważany być może jako bardzo korzystny dla Serbii. Pełnomocnik bułgarski przebywa w Konstantynopolu i prowadzi układy z Portą. Sprawa unii w zasadzie została zatwierdzoną, idzie tylko o szczegółowe punkty, co do

musno zalegają, jak po stracie kogoś ukochanego z rodziną.

Z dziecią było nie lepiej. Z sutego niedgła futra niedźwiedziowego Żurby przez lata, skutkiem przeróbek ościowych, w miarę zużywania się, powstał kusy, o wytartej sierści kaftan, nawatowany w rekawach. Podobne przemiany i salopa Żurbiny, niegdys liśami podszyci a z wierzchołm porządkiem, przechodziła. Dzieci, zamiast dawnych, wdzięcznych sukienek i bociów, chodząły w parciowych spodniach, zgrzebnej koszuli i w lapciach. Kiedy na to matka patrzała, łez powstrzymała nie mogła. Stugi nie mieli za co trzymać, więc sama sięgła gotowała i często w mroź, wiatr i szozupla, bosa, na lodzie, zginając się nad przetrębłą, bieliznę prala. Robotnicy ze smolarni nosili wodę i drwa, lecz często słuchać nie chcieli, odpowiadając burawato. Żurba biała i gderał ich za to swym przytłumionym, nie z głębi płuc wydobyłym głosem. Słsi postużąc, niechętni.

(D. n.).

Z. (Komar) Pietkiewicz.

których łatwo już nastąpić może porozumienie. Pomyślnemu zakończeniu sprawy pomaga, nie wiadomo z jakiego źródła płynąca i na czem oparta, sympatya Turków i sultana dla Bułgarii. Obie strony zgodziły się również, że w razie wojny z Grecją lub Serbią wojsko bułgarskie działać będzie wspólnie z tureckim, nie wiadomo tylko, czy warunek ten podoba się Rosji lub Austrii.

W stosunkach z Rosją książę Aleksander okazał się zręcznym dyplomatą, przyjął on bardzo grzecznie ambulatoria Czerwonego Krzyża i dziś już *Gazetnik* zapewnia, że waży być skutkiem zbliżonych plotek. Jednocześnie dzienniki donoszą, że do Sofii jedzie adjutant Ciesarsza Aleksandra III z własnoręcznym piśmie Monarchy rosyjskiego do księcia. Wreszcie jakby dla ułatwienia pojednania Karawelow podaje się do dysmisji. Ta ostatnia wiadomość potrzebuje wszelkie potwierdzenia.

Królowa angielska osobiście otworzyła parlament, czego nie czyniła od lat wielu; postępek ten przypisują szczególnym względem dla gabinetu zachowawczego. Mowa tronowa obiecuje cały szereg reform wewnętrznych, krótko tylko wspominając o polityce zagranicznej. Rząd odrzuca wszelkie projekty autonomii irlandzkiej, chociaż obiecuje pewne ustępstwa w sprawach samorządu miejscowego. Zmiany te wspólnie będą zresztą dla wszystkich krajów trójjedynego królestwa. Natomiast gabinet zapowiada stosowanie surowych praw przeciw stowarzyszeniom tajnym, do rzędu których p. Salisbury pragnie zaliczyć również ligę narodową i w tym celu zamierza wystąpić z osobnym wnioskiem w parlamencie. Gładsione i Parnell w odpowiedzi na ten ustęp adresu zaznaczają tylko odrębne swoje stanowisko, nie wdając się w polemikę. Wstrzemiędlność taką łatwo można wytłumaczyć: przywódcy liberalnych i irlandzkiej wiedzy, że w każdej chwili, kiedy zechcą, mogą wspólnie siłami obalić gabinet dzisiejszy, poprzednio jednak muszą porozumieć się między sobą. Dopóki opozycja nie zgodzi się na jednokrotny program co do Irlandii, nie warto obalać rządu, bo taki krok niepotrzebny mogłoby tylko wyjść na korzyść konserwatystów.

Posiedzenia sejmku czeskiego zamknięte zostały 21 stycznia; podczas ostatniej sesji był on widownią żartowych sporów narodowościowych. Jedyny dodatni rezultat obrad stanowi przyjęcie wniosku, określającego słuszne prawo ludności do używania w sądzie mowy ojczystej.

LITERATURA I SZUKA.

MICHAŁ CZAJKOWSKI.

I.

Przed kilku dniami telegram przyniósł wiadomość, że 80 letni starzec, Michał Czajkowski, znany również pod nazwą Sadyka-paszy odebrał sobie życie. O przyczynach, które skłoniły go do tego kroku, różne obiegają pogłoski, każda zaś z nich dostatecznie tłómaczy samobójstwo, które zresztą bynajmniej nie świadczy „o szalonej” w tym wieku żywotności duchowej. Jeżeli samobójstwo 80 letnich starców zdarza się rzadko, to dla tego jedynie, że niewielu ludzi dochodzi takiego wieku, procentowy wskaźnik stosunek samobójców jest w tym okresie życia najwyższym.

Już przed trzema laty, pisząc w *Prawdzie* o politycznych występach Czajkowskiego w Rosji *), zauważyliśmy, że „ci, co pa-

miętają w nim tylko autora *Wernyhory*, potępiają go, my jednak widzimy tu wcale nie apostazję, ale objaw zupełnej naturalny, logiczny wynik poprzednich jego poglądów,“ teraz zaś, ponieważ mówimy już nie tylko o polityce, ale i o człowieku, dodamy: „i całej jego natury.“ Jako człowiek i jako pisarz Czajkowski przedstawia dziwne zjawisko: nie jest on bynajmniej ani polakiem, ani słowianinem nawet, ale prawdziwym mieszkaninem Wschodu, nieodrodnym potomkiem tych ludów, które niegdyś siedziały na czarnomorskich stepach. Jakis niezbadany kaprys dziecinności rasowej rzucił tego „człowieka Wschodu“ w otoczenie cywilizowanego społeczeństwa.

W organizmicy duchowej Czajkowskiego od lat najmłodszych przebiegały się wyraźne odczyt wschodnie: fantazja wybujała, ale czysto zniszczoła, skłonność do kontemplacji, poszanowanie dla siły i powagi. Z licznej emigracji polskiej, rozproszonej w państwie tureckim, on jeden zbismurzył się szczerze i prawdziwie, jeżeli zaś później zwrócił się do Rosji, to dla tego jedynie, jak sam objaśnia, że przyznał do tej partii rosyjskiej, która jawnie i otwarcie przeciwstawia cywilizację wschodnią — zgniłemu europejskiemu Zachodowi. Według zwierzeń jego w Rosji, katolicyzm oderwał polaków od Wschodu, do którego należeli z pochopenia, z obyczajów, z przesił, z woli bóstwa i rzucił ich nie w objęcia, lecz pod nogi Zachodu. Nie bezrad był przyczyną upadku, ale brak podstaw, które mógł dać tylko Wschód; powrót do tego wiary i obyczajów, do zerwania w mgłę wieków tradycji jest dzisiaj jedynym środkiem zbawienia.

Czajkowski ani nie raz takie pomysły, iż zdaje się, że nie tylko urodził się przed stu laty, ale okres ten nie przeżył, nie wie nie rozumie i zrozumieć nie chce tego, co się około niego dzieje. Pomimo osiemnastoletniego pobytu w Rosji, sądzi w 1878 r., że państwo to jest kopią Turcji, albo też niezmienną w niemożoność obdłaką czasów Pawła I-go, nie pojmując, że narodowości rosyjskie posiada już wyrobioną świadomość swej siły i odrębności, że polityka państwa, pomimo tych lub owych zmian w sferach rządzących, służy zawsze mniej lub więcej odpowiednio celom narodowym. Jemu się zdaje, że wzajemnie obcoobawno obywateli rosyjan i polaków rozstrzyga sprawę, że gdy p. Janowski będzie polował, tańczył i upijał się z p. Iwanowem, to antagonistom polityczny i narodowy zniknie. Czajkowski oryginalnie zapatrjuje się na sprawę pojednania: nie cieszy go bynajmniej spójnika praca społeczeństwa polskiego, owsem pojednanie popiera on dla tego, że wyrwie ono szlachetę z handlowo-przemysłowej sfery, otworzy jej dostęp do działalności wojakowej. „Bo i co to za Polska bez ulanów?“ zapytuje naiwnie. Rzeczywiście, dla niego po za szablą i konuszem, po za ulanem i koniem — polskości nie istnieje wcale, zawiera się ona w tych tylko zewnętrznych oznakach. Dajcie mu dobrego konia i szablę, nasunie rogatywkę na ucho i huknie: jeszcze nie zginął.

Powinno on być lubie żydów, jako przedstawicieli rasy wschodniej, w rzeczywistości jednak nie cierpi ich, ale tych tylko, którzy przybierają pozory europejskie. Za to do żydów berdyuczkowskich i pjeasmi i w chałatach czuje dziwną sympatię. Wprawdzie z przyjemnością opowiada, jak ich wieszano w czasie powstania 30 r., ale jedno drugiemu nie przeszkadza.

Zamiłowanie do koni dochodzi w Czajkowskim do tego stopnia, że staje się prawdziwym kulem oworowionych bóstw. Szlachcio lubi swego wierzchowca, chłop swoją jedyną szkapę, ale Sadyk-pasza ubóstwia konie, jak kochanki, ale daleko więcej, podobnie jak arab lub turek. Pisz-

on całe rozprawy o swych koniach, w powieściach zaś jego opis jakiegoś ogiera lub klaczy więcej obfituje w szczegóły, więcej zawiera uczucia, aniżeli charakterystyka bohatera lub bohaterki opowiadania.

My ludzie nowych czasów i kultury europejskiej pojąć nie możemy tego zażyłego obcowania człowieka z koniem i coś podobnego znajdujemy tylko w stepach Arabii lub Asyi środkowej, pomiędzy kozocznymi buduinami lub turkmenami. Człowiek pierwotny występuje w Czajkowskim nitylko w tym szczególe — jest on ażuży w fantazyj bujnej a przesadnej, przypominającej baśnie wschodnie, w wyrażeniach rażących smak nasz potwornymi hyperbolami, w poglądach wręcz, które bez względu na ich treść dowodzą, że myślał on innemi kategoriami, anieli my wszyscy. Polskość jego była po prostu rzeczą wypadku; nieodrodnym ten potomek połowów i pieszczynów, których resztki wiały w narodowości ukraińska, pisał po polsku, bo języka tego nauczone go w dzieciństwie, działał jako polak, bo wychował się w tem otoczeniu, ale pomimo tych znamion zewnętrznych pozostał zawsze człowiekiem Wschodu, wierny instynktom swej rasy. Nitylko duchowo, ale i, że tak powiem, antropologicznie nie był on polakiem, nie był nawet słowianinem lub europejskim, zwłaszcza zaś XIX stulecia. Idee wieku, kultura nowożytna nie miały nad żadnego wpływu, nie rozumiał ich wcale, nie mógł zrozumieć ten zapóźniony barbarzyńca.

Pomimo że żył w Turcji w ciągu lat kilkudziesięciu, nie pojmował aż do śmierci tego, o czem rozprawił dziś lada dziennikarski reporter. Upadek tatarskiej państwa otomanskiego objaśnia on, w ten sposób, że gdyby Nowret-pasza otrzymał się, byłoby wszystko inaczej, ale zamiast Nowreta przyszedł Midhat — stąd katastrofa. Ruch słowiański myślał on zaognić za pomocą projektu ogłoszenia sultana dziedzicznym panem ziem serbskich, jako potomka w żeńskiej linii dynastji Nemanczów.

Zauważyliśmy już poprzednio, że nieumiał ocenić doniosłości tych zmian społecznych a politycznych, jakie zastał w Rosji, i wielki spór narodowy, którego od lat stu załagodzić nie mogą najwybitniejsi przedstawiciele obu stron, sprowadzał do zwykłej wady, polegającej na tem, że szlachta polska dąsa się na rząd i szlachetę rosyjską, wskutek czego nie chce służyć w ulanach i innych rodzajach kawalerji, natomiast zaś od czasu do czasu urządza sobie ruchawki. Nie tak jasno może formułuje swoje zdanie Czajkowski, ale uważa czytelnik jego wyznac o „kwestji polskiej“ i „niedogodności opowiadań, zgodzi się że ma, że w istocie takim jest pogląd Sadyk-paszy. Rozumowania jego są nadzwyczaj dźwięczne: upadek Turcji przypisuje on zmianie baszów, a o żydach np. twierdzi, że już z chwilą przybycia swego do Polski byli agentami niemców, którzy wysłali ich nad Wisłę dla germanizowania słowian. Najulubieńszym argumentem jego w dowodzeniu jest anegdota, albo — rym. Napisał wyraz: magnaci, poczem wyliczając wyższych dostojników natrafił na — prałatów; magnaci — prałaci rymuje się wybornie, więc ten śbieg końcówek służy mu za podstawę do całej teoryi historyzoficznej, w której nie ma ani sensu, ani prawdy za trzy grosze — ale za to jest rym!

Takim przedstawia się nam jako człowiek Michał Czajkowski. Pomijamy niektóre wady i przyrmyty jego, które mają znaczenie uboczne i do charakterystyki typu nie należą. Powiadają, że był ambitym intrigantem, chytrym, zdrajcą i t. d. Może, ale wszystkie te strony charakteru odpowiadały jego wschodniej naturze. Wszystkie zmiany religijno, polityczne i inne, przez jakie w życiu przechodził,

*) Nr. 18 r. 1883.

dadzą się wytłomaczyć nieraz powodami formalnymi, ale najlepiej objaśnia je natura tego człowieka. W przebiegach tych różnorodnych Ożajkowski zawsze pozostawał w zgodzie ze swoją przyrodzoną istotą. Nie można go sądzić jak zwykłego człowieka, a tem bardziej jak polityka i myśliciela, jego, który rozumował za pomocą anegdotek lub rymów, który nie mówił narodowości — bez ulanów, zwołań — bez koni, cywilizacji — bez ryerstwa, który za klasz Zulejkę oddałby wszystkie nabytki kultury europejskiej. W dodatku była to natura poetyczna jak wszystkie dzieci Wschodu, a, jak wiadomo, poeci zawsze mają słusność, chociaż krytyka doktrynarska nie zawsze prawdę tę uwzględniła.

Ostatnią swoją metamorfozę Ożajkowski objaśniał z początku kozackim pochodzeniem i kozackimi sympatjami; to ostatnie nie ulegają zaprzeczeniu, ale o tyle tylko, o ile kozacyzna była żywiołem wschodnim, kozownictwem ryerstwem stopem. Nie bez racji sam Ożajkowski mówi o sympatjach kozackich nie zaś o ukraińskich — należał i nam dwa te pojęcia odróżniać. Później, w *Rusii*, dokładniej już objaśnił zmianę przekonań. Spór polsko-rosyjski, według niego, to jeden z momentów wiecznej walki między Wschodem i Zachodem. Myśl to nie nowa, wyrażał ją nawet świetnie znany filozof rosyjski p. W. Sotolow, wypowiadałi nieraz sławiano-filo lub też narodowej polscy. Ożajkowski jest o tyle oryginalnym, że sądząc z siebie, dochodzi do wniosku, iż polacy oderwali się od Wschodu i jeżeli chcą uniknąć zagłady, muszą doń wrócić. On wrócić, a raczej nie oderwać się wcale, bo właściwie polakiem był tylko z pozoru. Przeciwnieństwem między kulturą Wschodu i Zachodu nie określa, nie rozumie zapewne, ale je czuje wszystkimi popędami swej natury. Jego naturze wschodniej odpowiada mistyczny Aksakowski, który świadomie często, częściej jeszcze bezświadomie jest wyrazem kultury i ducha Wschodu. Ożajkowski nie potrafił, jak sławiano-filo, ująć poglądów swych bodajby w mgliste formuły, ale instynktowne lgnie do „samobytństwa” moskiewskiego. Nowogonie on powiedział nie mógł, powtórzył więc tylko wiązane dawnych dzwistw, dodał kilka nieznananych anegdotek i w ten sposób stworzył swoje credo.

O działalności Ożajkowskiego w literaturze polskiej powiemy w następnym numerze.

(D. n.).

W—t.

WSZECHSATYRA.

Był kiedyś poeta, o z nieuleknioną zrenicą uragał gwałtownie silnych, czołganiu się słabych a polizokujące pogardą i sycderstwem słowa rzucił jednym i drugim. Świat odstąpił na widok śmiałka, ułaski się jego tytanicznej sily, zmrużył oczy przed idealną pięknością, ale daremnie szukał uszy na ostre słowa, albowiem groty to pochodziły z Olimpu, przebiegali puklerz głupoty i zaślepienia i więzy w mózgu głęboko. Szlachetniejsi nazywali dalkiego napastnika cherubinem, podli—dyałem a tłum obojętny—lordem Byronem.

Pół wieku już oddziela nas od czasu, kiedy wielki ten męczennik złosci ludzkiej palił w walce za najpiękniejszy niegdyś naród Europy, nieopodal od mogił bohaterów w Grecyi, przebrzmiały już u nas i gdzieindziej odgłosy jego liry, której tony podchwytawali najwznieślijsi śpiewacy wszystkich ludów. Hymny jego na cześć swobody i piękna rozplynęły się niewi-

dzialnie dla oka, lub ukryły jak niedostrzeżone sprzęty dziejowego dramatu, które tylko baczny wzrok wtajemniczonego wysławił w przewrotach pojęć i myśli ludzkich. Aż tu kłosem skromny wielbieli geniusz wkrzesił zamarki rymy i nawołuje nas do słuchania ich, przebranych w szaty swojskie, ojęzyczne. Czy wszystkie? Nie, te, w których rozplynęła się szatańska ironia, przepłazany łzami śmiech nad moralną nędzą pisałzków tego padolu, słowem—Don Juana...

Czy nie zapóźno, zapyta niejedną, kto utwor ten dołożył już może do antykwarycznej części swego księgozbioru? Bynajmniej. Na zachodzie zrozumiało go niewielu wykształconych; większość albo robi na widok jego znak krzyży, umacniasz nabożnie niepokalane ręce w wodzie święconej; albo... w najłepszym razie rozkwiera usta, luznogo bezmyślną wesołością przy czytaniu cynicznych i lubieżnych wycieczek poety. My uderzmy się w piersi i wyznajmy, że znamy tylko legendowy szkic płocho Don Juana, podniosiony do wartości genialnego dzieła muzycznego, dzięki Mozartowi, a epopeję wygnańca Albionu... z tytułu tylko.

I nie dźwi: poezji polskiej, obco są żywioły przeżaczo—najwyższym aszytem, na jaki ona w filozofii swej kiedykolwiek się podnosiła, był panteizm, w krytyce społecznej—drobna obyczajowa satyra, lecz pierwszy niestety wyrażał się w czczy mistycyzm, druga — w okolicznościową bajkę. Od Byrona zapożyczono wiele, ale najmniej rozumiano śmielesz wzołty jego geniuszu i przeto najmniej je przyswajano. Pisarze polscy nie mieli jakos zmysłu do negatywnego pierwsiastku w pojęciach o bóstwie i wszachewicie znali jedną tylko modlitwę: modlitwą chwalby i holdu dla wszystkiego, co istnieje, więc i od dumnego lorda brali zaledwie jednostajne pieśni na temat erotyki wschodniej, oraz żale na nudy i melancholij. Morawski odważył się spolszczyć Manfreda dla tego tylko, żeby zatrzeć nienasak wywołany cynizmem Goethowskiego Fausta („), zrozumianowsy albo raczej nie rozumianowsy obni jednakowy. Nieszcześna mania wyślakowania u wieszczów tego co mdle, idealne, bezkrytyczne a unikania wszelkich objawów ducha niespełanego, wszelkiej głębszej analizy, dziś również mogłaby spłatać nam dźgi i pokryć milczeniem zmartwychwstanie Don Juana na naszym gruncie piśmienniczym, jeżeli może i potrzebuje zmartwychwstał do, co z natury swej jest nieśmiertelnym.

Tak jest—Don Juan nie skona nigdy: opiewa on złągę ucywilizowanych społeczeństw i rządów, na którą przeciętny spostrzegacz życia robi dobrą mianę, wydriwia niemilosierdzie świętaszkowatość i obłudę, okrucieństwo, barbarzyństwo, ucisk, to wiecznie czynne i nigdy nienasycone fure. Don Juan—to już nie Child Harold, to nie Manfred nawet, nie ody do miłości w rodzaju Faryzyn, bal Narzeczonej z Ahydos, nie patetyczne żale nad mękami Bonivara. Ten okres rozwoju duchowego, w którym bolejęm nad czesnością życia i pustką w sercu, i puszczamy się w pogon za wstrząsającąmi wrażeniami, minął dla literatury powszechnej; owo stadium romantyczne, kiedy każda wytwornie uposobiona jednostka upajała się wonią kadzideł i przepychu tureckiego, i zapuszczała ciekawy wzrok w tajniki haromowej, aby nasycić oczy widokami raju Mahometa, stracił swój chorobliwy urok. Nawet ten protest przeciw ciemności—bóstwu, podniesiony przez Manfreda, nie rozlega się już gromem, bo prometeizm przeszedł w systemat filozoficzny, a porywy tytana przelożono na język rozumowych przesłanek. Wiek dzisiejszy—to już nie mędrze zapatrzonej w czesną kosciotrupa, otoczony stosem pergaminów

i symbolami makrokosmu i mikrokosmu, ukryty na wysokiej wieży zankowej; to skulona postać nędzy, zapatrzonej w pusty garnek, drążącej od zimna w piwnicy, otoczonej cuchnącą atmosferą niedostatku. Tak zwany byronizm podobnie przebrzmiał już u nas jako kierunek dawno, iakry jego toleja jeszcze gdzieindziej w egzaltowanej duszy młodzieńca, ale z fali nowych dźwięków wieku nie wydobęda się chyba nigdy. Lecz „Don Juan”—to biegun przeciwny westchnień i skarg—to meksi, zimny sarkazm na brudne plamy słoni, przed którymi chyliły czoła, plamy coraz większe coraz widoczniejsze; to druga połowa ducha hyronowskiego, najmniej pojmowana a najbardziej prorocza, najbardziej dla etyki nowoczesnej znamionna.

Powazniecznie nazywają Don Juana poematem politycznym; nawet tak głęboko krytycy, jak Brandes, tego charakteru w nim się dopatrują; ale ani rys ten nie jest w nim wyłącznym, ani tak przeważa, by mianem jego chrzcić cały utwór. Zupełne ówczesnym rządom europejskim do staje się w nim taka poręga pogardy i nieważności, że miałyby zupełnie prawo sobie przypisać całe arcydzieło. Krzywiły się silni tej ziemi pod jadowitym tchem jednego kuternogi, w śółci własnicy wstroby mógł się być kapad zdrajca Irlandyi Castlereagh, żywi i pogrzebani królowie Anglii. Niczem może była obelga wyrządzona pamięci Elbioty. Jerzego, regenta, niezmów wszystkie przekleństwa, miotano z niemilosierdnym syderstwem na szlachociów jego ojęzyczny w porównaniu z tem, co wysyłał pod adresem innych winowajców.

Don Juan w założeniu swem jest poematem narodowym, ale w dalszym ciągu—nie. Fałszywe blaśki angielskiej śmiotłanki miały w nim przedewszystkiem krwawego szczydere. Wiecznie dbało o przyzwolność rody jego współzłomków, jak i za dni dzisiejszych, nurzały się w błocie rozpusty, ale przesłaniały ją drogoceńnami frankami. Byron na złosć przesnął im przed oczami cały szereg scen lubieżnych, które malował z nienasładowanem mistrzostwem. Począwszy od miłostek z Julia, które wzrosły i dojrzały pod pieczą puryskiej matki, a kończąc na Adelinie, która Don-Juanowi zastępowo podniowiego komandora i przebrana za widmo mniacha ofiaruje mu o północy swe wdzięki—wszystko tu jest „donjuanerya”.

Ala, rzecz szczerze, donjuanerya nawną, niewinną, poetyczną, jak sama natura. Na kanwie erotycznej wyhaftowano przez poete obrazy nie są jedynym jego celem, nie tylko dla zgorzenia i na przekór pruderyj roztacza on przed wzrokiem obłudników nieskończony szereg orgii, miłosnych szepotów, ruchów, przed którymi ci skromnie spuszczaają oczki i mrużąc: „nie wódz nas na pokuszenie!” Tkwi tam i druga jeszcze myśl, głęboka i poważna: przeciwstawienie miłości szczerzej, rządzonej jedynie instynktami naturalnymi, owej parodii uświęconej sztuki i ożarzem. Tak czystego i zarazem tak naturalistycznego romanu, jak sielanka Don Juana z Haidą nie ma może cała literatura. Czuł tu ów zwrot ku pierwotnym podseptom natury, które do zasady podniósł Rousseau.

Don-Juan nie jest ciągiem opowiadaniem, ale nieskonczonym łańcuchem nawiasowych uwag, ubocznych poisków. W tych odoskaskach, za które sam z niepo-równywanym dowcipem wiozą się ołoszości, tkwi cały balast satyry. Niema potęgi na świecie, która by tam uszanował ten istny rancper ironii. Skrzydłata muza jego rani wszelki kłopotłogi. Nie dajcie o fanastykom klasycyzmu, że pod niebiosą wynoszą każdy wiersz Homera, choć go nie rozumiają i rozumieć wcale nie mogą, choć piękno poezji greckiej na wielu punktach

równa się naszej śmieszności. Uroczystość porównania swego bohatera do ośa, bo dla czego nie ma tego oznić, kiedy arcykapłan poezyi, ślepy bard grecki, w podobny sposób wysławia swoich ulubieńców, a ogół krytyków omokaje językami z zachwytu; nie przebacza żadnemu poecie, żadnemu słowobliwi, który zgryźliwy śmiesznością, słałoby się podłością, lub niezasłużenie został beniaminkiem opinii powszechnej, zadowolony francuzem, że ma treściwy wyraz „languer” — ale pociesza się myślą, że anglik ma samą treść — bo ma Wordswortha. Na każdym kroku drwina spłata się z liłością, a tak się za ręce trzymają, że nie wiesz, której masz uwierzyć, która w danej chwili gości w sercu opowiadacza. Oto rozbiłki z listu pierwszej kochanki Don Juana robią losy, pozostawiają ślepego fortunie wybór tego, kto ma zaszkodzić ich głoś; ofiarą pada cieżygodny mentor bohatera, osoba uprzywilejowana, bo w długiej saturnie, za to unika śmierci innej, któremu dawać w porcie została podarunek, ocalszający go od żarliwości towarzyszy — a wszystko to na tle rozpaczliwych niebezpieczeństw tuczołów, którym nie pozostało już ani jednego ludzkiego instynktu. Ledwieś przestał się śniać, a chce ci się już plakać nad ojcem, który bezsilnie — patrzeć musi na skonany wyrost i kropie dądu daromnie woiska w zakrzepie usta ukochanych. Uczucie tkliwość w sercu zawsze i wszędzie więcej dla Byrona warte niż inteligencja i cywilizacja — na wyższość pojęć. W wspaniałym obrazem bitwy pod Immalem zdradza on co chwila sympatyę swą dla turek, jakkolwiek wysławiają ich na tamten świat, kpi z marzeń o raju Mahometa; coż, że temu baszy, który z mieczem skrawionym opęda się stęgłowej hydry nieprzyjaciela, ujął na pięciu trupach swych potomków, chętnie pospieszył by na odsiecz, chociaż każdego z osobna pożałował śmiechem i drwinami.

My tego męstwa dzisiaj wyobrazić sobie nie potrafimy i słuchamy opowieści o tym bojujniku swobody, jak o indyjskim bożyszczu, z tą różnicą, że zamiast potwornych kształtów i Molochowego ryku, widzimy oblicze Apollina, słyszemy czarowną słów muzykę. My dziś pojąć niezdolni tego hartu jakiego potrzebuje duch ludzki, ażeby zgłuszył w sobie tęsknotę za niedzielną ojczyzną i okazał się na wieczne wygnanie; największej miary ludzie, gdy utracą z oczu życie, która ich wykarmla, nęglą melancholii, marznią lub karkławicją. Byron rychło zrzucił z siebie piegielny płaszcz Ohld-Harolda i wdział elegancki kostium Don Juana by parskać długim, nieprzerwanym śmiechem w oczy Anglii i całej Europy.

Takiego olbrzyma ludzkość nie prędko się doczeka. Jeden tylko człowiek umiał tak szczyd jak Byron — to był Heine; dwaj tylko przypominali Byrona polem humanitarnych uczuć i lwią odwagą: Wiktor Hugo i Shelley — dziś już niema żadnego z nich: trony władców poezyi stoją opróżnione.

Pozostali tylko ich nieśmiertelne cienie. Przed największym z nich ukoramy się, gdy w uszach naszych rozlegają się eolskie dźwięki jego arfy w zrozumiałej, dostępnej dla każdego mowie. Nie damy już przemieć im bez echa, nie oimamy ich milczeniem, jak pierwsze, lepsze wspomnienie dawniejszej melodyi. Nie krzyczymy, że jest znana nam, bo oklamujemy, nie narzekamy, że uarta, bo złotyśm dowód niemożności, który choć był mędrszym od całego stulecia, dotąd jeszcze silniejszy się na zgłębienie „wzschodzący”. Sposobność narzeczła się, bo mamy przed sobą przekład „Don Juana” gładki, potoczny i dla przeciętnych wymagań więcej nawet niż zadawalający.

Pan Porębowicz piśmiennictwu naszemu tym podarkiem przysłużył się nie mało,

objawiając jednocześnie wielkie zamiłowanie do wozu i wielki gust, pomimo, że jak i inni tłumacze tego najzamienniejszego utworu Byrona, był bezsilnym wobec liennych jego nie do naśladowania blyskotów i drobnych klejnotów, jak językowe dwuznaczniki, misternie zbudowane gry słów, subtelne aluzje, którym przeznaczono pozostać na zawase w graniach oryginalu — i uragać uskoikowaniom wszystkich wógło tłumaczy. Zapewne, w naszym rozmiarowanym społeczeństwie, gdzie każdy nader słabo jest opancerzonym przeciw gorączce myślowej, nie jeden ustep Don Juana mógłby z korzyścią być zamianym dla młodego czytelnika, ale dla umysłów dojrzałych i umiejogących czytać pomiędzy wierszami i ponad wierszami, po za formą obrazów i rzeźb dostrzegających w nich sarkazm — jest książka, która więcej ciekawych rzeczy położy, niż dzieła Arystofana, Jawnalska, Rabalskiego, a blaskiem poezyi zaćmi je może.

N. Hirszbard.

PRASA PERYODYCZNA.

Lwów, 15 stycznia 1886.

Przegląd społeczny, pismo naukowe i literackie, zeszyt 1-52.

Pierwszy zeszyt zapowiadającego przed kilku miesiącami czasopisma p. *Przegląd społeczny* opisał właśnie prasę. Pojawienie się nowego miesięcznika na naszym gruncie, z barwą ogółu odmienną od reszty prasy galicyjskiej, jest faktem godnym zaznaczenia. Nie potrzebuje powtarzać, że godłem, jakie *Przegląd społeczny* na swym standardzie wypisał, jest słuzenie sprawie postępu. W jaki sposób służyć to spełniać zamierza, określiła redakcja w niedawno wydanym prospekcie (trochę niewyraźnie stylizowanym) zapowiadające, że zadaniem pisma będzie: a) dążenie do ograniczenia, na tle filozoficznych i przyrodniczych teorii oraz odpowiedniego faktycznego materjału, całokształtu zagadnień, wchodzących w zakres nauk humanistycznych, jako to: psychologii, etyki, socjologii, ekonomii, prawa, historii cywilizacji, etnografii itp.; b) gromadzenie i opracowanie materjałów, odnoszących się do stosunków krajowych pod względem ekonomicznym, politycznym, umysłowym i etnograficznym ze szczególnem uwzględnieniem czynników, wpływających na ukształtowanie przyszłości w postaci wybitniejszych objawów życia, ewolucji stosunków ekonomicznych i opartych na niej projektów reform, polityki rzędów itp.; c) baczne śledzenie postępowych i reakcyjnych prądów w innych społeczeństwach zarówno na polu teoretycznej myśli, jak i na polu rozwiązań przez nie życiowych zagadnień.

Bez reklam nakał się pierwszy zeszyt nowego pisma. Jeż, jak wiadomo, jeleń z pierwszorzędnych u nas znawców Słowiańszczyzny południowej, porusza nader ciekawą sprawę sporu madyarsko-kroackiego. Zaznacza on, jak trudnem jest dla polaków zająć w tej sprawie stanowisko bezwzględnie bezstronne, gdyż „do kroatów zbliża nas pobratymstwo, z węgriami łączą koleżeństwo; z pierwszymi jesteśmy jednej krwi, do drugich odnóżą się spólne wspomnienia dziejowe, tak dawniejsze, jak daty późniejszej”. Stąd to głosy polskie w sprawie tych sporów grzeszą jednostronnością. Zdaniem autora, zarówno madyarzy jak kroatów ofiarą sąmu w pojęciach, jedni i drudzy ulegli podstępcom trzeciego, *qui gaudet*, który dla utrzymania swej przewagi jętrzył ich nawzajem przeciw sobie. W obecnej dobie sporów kroatów z narodem, ale ze stron-

nictwem dzierżącym władzę, chociaż sami, jak się zdaje, tego nie widzą. Spór ten, wikłany ciągłymi błędami obu stron, dałby się rozstrzygnąć, gdyby w miejsce istniejącej ugody (*Ausgleich*) państwowej wprowadzić narodowościową, ubezpieczając, ustrojem rzetelnym federalnym — dotychczas bowiem federalizm po tej i tamtej stronie Litawy jest złudzeniem.

Artykuł Brandesa p. t. „Typy kobiet niemieckich”, napisany ze znanymi dokładnocią czytelnikom *Przeglądu* zaletami tego pisma, zawiera charakterystyczne spostrzeżenia właściwości niemiastek niemieckich rasy, zebrane przez niego w rozmaitych miejscowościach i wśród rozlicznych warstw społeczeństwa.

W pracy p. t. „Polska w czasie wielkiej francuskiej rewolucji i wpływ tej ostatniej na nią” zajmuje się p. Limanowski sprawą reform społecznych w Polsce przy końcu ubiegłego wieku, szczególnie zaś zaznajamia nas z osobistością i działaniami reformatorskimi k. Hugona Kolłataja (autor pisma „Kohontaj”, ponieważ tenże sam się tak podpisywał). Wyniki tej pracy, wyjętej, jak zapewnia redaktor, z obszernego studjum, poświęconego ruchowi reformacyjno-rewolucyjnemu w drugiej połowie XVIII wieku, będą niewątpliwie wielce interesujące wobec tego, że właśnie w ostatnich czasach już z innej strony bliżej osobą Kolłataja i o wym ruch reformatorskim się zajmowano (ks. Kalinka — Smoleński).

Nowela Wolowistkiego Michała p. t. *Kuściel* osnuta jest na stosunkach irlandzkich owej doby, kiedy rewolucja francuska odbiła się potężnem echem wśród nieucionego narodu i rozbudziła rozmaite nadzieje, dotąd nieziszczoną, a wadła za tem niedojrzała ofiara zakończyła żywot w cytadeli dublińskiej.

Z innych artykułów podnoszę: nader ciekawą „kronikę paryską”, charakteryzującą obecne partie polityczne francuskie a w szczególności kreślącą dokładnie program tamtejszych nieprzejednanych, którzy obecnie przybrali nazwę radykalistów socjalistycznych (radicaux socialistes); dalej artykuł o konkurencji amerykańskiej, poparty szeregiem ciekawych danych, wreszcie kronikę społeczną, poruszającą sprawę rolniczej przesilenia w Galicji, tudzież kwestję wychodźstwa włościań z Krolestwa. W końcu kilka sprawozdań literackich.

Jak widzimy, treść zeszytu pierwszego bogata. Nie będę rozbiarał krytycznie każdego artykułu, gdyż wobec kilku dopiero zeszytów byłoby to nawet niemożliwe. Potrzeba czasopisma z kierunkiem wybitnie postępowym w Galicji jest niewątpliwą. Lepiej by tej potrzebie dogodził tygodnik, który by dąniał na szerokie koło czytających i częściej do nich przemawiał. Nie uważa to jednak nic i miesięcznikowi — on także może oddać Galicji olbrzymią przysługę. Koniecznem jednak jest, ażeby się nęgał do wymagań społeczeństwa, wśród którego istnieje. Miesięczników mamy dość, niektóre zajmują wybitne w prasie polskiej stanowisko, jak np. *Ateneum*. Pismo postępowe, w Galicji wychodzące, powinno przede wszystkim poruszać jak najwięcej spraw krajowych i to pękających, pobudzać do reform społecznych, wskazywać błędy w istniejących urządzeniach i środki dążące do ich naprawy — wogóle być nie tylko odbiciem nurtującego w kraju prądu, ale torować im drogę. Pierwszy zeszyt *Przeglądu* porusza właściwie tylko jedną sprawę krajową ogólniejszego znaczenia, mianowicie przesilenie rolnicze i to dość ogólnikowo. To za mało. Chociaż warunki istnienia czasopisma w Galicji, zwłaszcza naukowych i wogóle poważniejszych, są bardzo trudne, nie wątpię, że *Przegląd* obradzą taką drogę, zjedna au-

bie wielu przyjaciół. Wreszcie koniencem jest, żeby on skupił około siebie młode sily postępowego obozu, obanie idące luzem. Niech obok weteranów, którzy oddawać przewodniczą społeczeństwu, staną także ci, do których należy przyszłość.

Leszek.

ODCZYTY.

Lwów, 20 stycznia.

Dr. G. Karpeles, Goethe w Polsce.

Pospieszam zdać wam sprawę o pierwszego odczytu Dr. Karpelesa p. t. *Goethe w Polsce*. Ze względu na treść zajmującą i zupełnie nową (która powszechnie dobrze zrobiła wrażenie na dobrane kolo słuchaczy) streszczały to pokrótce cały wykład. Pierwszą znajomości literatury słowiańskiej, a właściwie pieśni ludowych z wzniesienia Goethe Herderowi, którego zbiór pieśni litewskich, serbskich, polskich itd. żywo zajął wielkiego poety. W r. 1785 zawiązuje on pierwsze stosunki z polakami w Karlsruhe, a mianowicie z ks. Adamem Oszatoryskim i jego siostrą ks. Lubomirską, o której z wielkim uznaniem i jeszcze z większą sympatją donosi pani Stein w liście z 7 sierpnia 1785 r. Następnie lata bawi znów w Karlsruhe w towarzystwie arystokracji polskiej — Ks. Debiński, hr. Potocki, ks. Oszatoryski itd. Temu ostatniemu poświęca wcale nieznaczny wierszyk:

Denn nicht der Pole freut sich dein,
Es freut sich nicht der Jude, allein
Es freut sich dein auch jeder Christ lid.

W r. 1790 przedsięwziął Goethe podróż przez Śląsk do Polski. „Jestem tutaj — pisał do Herdera — w tym nadawrasz zajmującym kraju, poznałem niektóre okolice górskie i równiny, a znajduje, że całość musi być niewzrusznie piękna i plastyczna. Będę miał wiele do opowiadania.” Zwiędził potem kopalnie w Wieliczce i do nich odnosi się krótki, ale piękny wierszyk: „fern von gebildeten Menschen am Ende des Reiches itd.” Wrocław zrobił na nim wielkie wrażenie. „Zaleził mi do tego krzykliwego, brudnego i cuchnącego Wrocławia, z którego pragnąłbym się jaknajprędzej wyrwać.” Podczas trzeciego pobytu w Karlsruhe 1795 wspominał z zapalem o wzajemnej miłości do nieznanego nam bliżej polki „nałwonej, wesołej, pięknej dziewczyny.” W r. 1808 poznał hr. Borkowskiego, któremu nie szczęśliwie pochwalił. O Jarzewskim mówi (1818 r.) że „posiada głęboką znajomość literatury niemieckiej.” Z słynną pianistką Maryą Szymanowską związał bliższą znajomość w 1823 r. W korespondencji i w poezji ma dla niej tylko słowa uwielbienia. Był to podobno najciszejszy stosunek Goethego do polki, który wywarła ogromny wpływ na niego. Stosunek Goethego do Mickiewicza znany z „Listów z podróży” Odrzyna. Mickiewiczowi, o którym się wyraził „on voit, que c'est un homme de genie” poświęcił dłuższy wiersz „Der Menschen Tage sind vorflochten.” Odnosił w nich znany osterowierasz, zachęcający go do kroczenia naprzód w obrany kierunek. O odwiedzinach A. E. Koźmiana i hr. Batowskiego u Goethego wiadomo z *Przejawienia ludu* i z *Pamiętników Koźmiana*. Pobieżnie tylko zaznamy się Goethe z Fredrą (ojcem) i W. Polem. Temu ostatniemu, niepokojącemu się w przedpokoju, rzekł z ironią: „Pan masz wiele ognia.” Na co mu odpowiedział Pol: „Przychodzę bowiem z ognia.” Było to 1831 r. Goethe potępiał zachowanie się pruszków w powstaniu listopadowym.

O wpływie Goethego na poezję polską, zwłaszcza na Brodzińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Garczyńskiego, o naśladowaniach i tożsamościach Goethego w Polsce moglibyśmy więcej i dokładniej powiedzieć, lecz i to, cośmy ułazyszy, wystarczy do wykazania, jak ten geniusz silnie oddział na społeczeństwo i literaturę polską — co jest prawdziwą zaślaga studium dr. Gustawa Karpelesa.

H. Biegeleisen.

KONKURS

Towarzystwa Zach. Szt. Pięk.

Gdyby wyrok tegorocznego konkursu Towarzystwa zach. szt. pięk. miał tak ogólne znaczenie, jak np. wyrok w sprawie projektu na pomnik Mickiewicza, niewiadomo powtórzyłaby się zawierucha Dykasowa. Pisma nasze przebiegały o proteście, który widocznie przydzono. Przyznajemy, że i w tym wypadku niezadowolone jest zupełnie usprawiedliwionem. Nagrodzono bowiem obrazy, których niepodobna uznać ani za dobre, ani za najłepsze z nadesłanych, natomiast pominięto bardzo ładne.

Szczególną łaskę sędziów i krytyków (którzy — zaczynają to trzeba — ze swych pochwałnych twierdzeń logicznie wypłatać się nie mogą) zrył obraz p. M. Kotarbińskiego „Pod szary anioł”, obraz w treści niejasny, w formie nieudatny. Na załamie skały leży trup jakiegoś męczennika (świadek o tem rozrzucone palmy), przy którym kłęczą ludzie, a nad którym siedzi drugi anioł — oba z rozpiętymi skrzydłami i kładzieciami. Nie szukamy w tym obrazie ani wielkiej sily, ani wydatnej oryginalności, bo natura nie dała p. K. tych przymiotów; ale szukamy tego, na co każdy przyzwoity malarz zdobyć się może: prawidłowości rysunku, harmonii barw i... logiki. Otóż rysunek jest tu niezawas poprawny (piersi nieobozczyły nadmiernie wypukłe, twarze aniołów pospolite itd.), kolory rozkoloru w mrokach — a logika! Może to nie po szkolonemu wymagać jej od malarza, zwłaszcza od malarza fantazyj, my jednak sądzimy, że nie ma takiej siery twórczości ludzkiej, w którejby logika była zbędna. P. K. maluje swoich aniołów, mających w spokoju skrzydła rozpięte, ubranych w szaty arcydzieł, zapominał zupełnie, że nie wszystko z wszystkim kojarzyć można. Skąd obraz czerpie światło: czy z aureoli trzech głów, czy z maleńkiej lampki nad głową zmarłego umieszczonej — zgadnąć trudno. Nie jest to zagadka jedyna, nie podnosimy zaś innych dlatego, że oprócz widoku morza i jego skalistych brzegów na dalszym planie oraz promieniowania głowy męczennika, oprócz tych szczegółów, odrobionych pięknie, całość wprost nie zasługuje na bliższą uwagę. Jest to malarzkie ćwiczenie bez wyższego polotu, bez sily, bez oryginalności, bez szczególnego pomysłu.

W każdym razie jest to utwór, z którym nie może się równać „Chrystus u sadzawki Sylwe” — grupa najwykleszych i banalnie ustawionych figur, nakreślonych barwnie paloną i niepaloną gliny. Trzymajmy na loteryi nie z mniejszą szuszeńością dostaje się wygrana, niż p. Ciglickiemu dostała się nagroda.

Stosunkowo najlepszym z nagrodzonych jest obrazek p. Maszyńskiego „Ostatnie wieści”. Wprawdzie nie wiemy, czy „ostatnie wieści” odbiera (od kogo?), czy posyła siedząc na fotelu chora kobieta, która dogasa w ciepłe gorące klimatu; wprawdzie twarz jej dość brzydka niewiele wyraża, ale sążnowo ona, jak stojąca przy niej dziewczyna i listonosz na die zielonego ogrodu z pewnego oddalenia rysują się wzdzielenie i żywo.

Wszystkie te trzy prace, według nas, stoją znacznie niżej od dwu nienagrodzonych a przez krytykę lekceważonych, mianowicie od portretu Ackermanowej P. Merwarta i malego obrażka „Sama jedna” M. Dulebianki. Są to twory

rzeczywiście artystyczne i objawiające istotny talent. Dlatego nie zostały odznaczono — wobec niemożności posiadania komitetu konkursowego o nieznaczności rzeczy — pozostanie to dla nas dziwną tajemnicą.

Prócz wymienionych wystawili p. Dziękowska „Zakonika,” W. Pawliszak „Zdobycz,” E. Lepsz „Alarm XVI w.,” J. Styka „Magdalenę” i „Nowicjuszkę,” R. Sawojnicki „Dwie rozpacz,” W. Szerner „Lisowczyków,” Wolski „Dla chleba” i kilka innych, którym pewnych zalet odmówić trudno, zdiwisi się wszakże nienagrodzeniu ich w konkursie nie potrzeba.

Dział rzeczy nie ukazał nam również prac znakomitych; portret hr. T. J. Kryskiego, „Niewolnica” L. Prowicza, „Rybak” J. Wydył, wreszcie popiernia Zawieskiego i Proszkowskiego noszą na sobie wiele śladów uzdolnienia i trudu, ale nie olśniewają.

Budownictwo wystąpiło najskromniej: J. Hinz przedstawił projekt kościoła, R. Padlewski projekt willi, A. Kluczewicz wnętrze kaplicy Sobieskiego.

Względnie tegoroczny konkurs Towarzystwa zachęty szt. pięk. dał rezultaty dość słabe, które tylko chwilowo mogą być podniesione deklamacyjną niezastudzoną chwalą.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Długi karawał i krótka wstrętność (która — Nowa figura tafa. — Sądy obywatelskie. — Sędziowie adwokacki. — Zwykły rezultat. — Najnowszy objaw. — Nieudolny redakcji *Tygodnika ilustrowanego* względem siebie. — Konkurs z plebiarzem. — Koszt wyborczy. — „Młody konserwatyzm” dowiadujący się o swoim istnieniu. — Towarzystwo p. Dleudonné. — Rzecz diwna.

Reportażem wierzyć trudno, bo ci, obsługujący pisma różnych „obozów,” a myślnie podają sprzeczne wiadomości i podnoszą gdy jeden bawi się na maskaradach, drugi ziewaniem wyraża sobie szuszeńki. Natomiast wierzyć można właścicielom sklepów i magazynów zbytkowych. Ci bez wyjątku (przezpraszam — z wyjątkiem reklamowanych w organach mód) utrzymują, że takiego „pięego karawału” nie pamiętają. Musi on być rzeczywiście „psim,” skoro niektóre pisma zaczynają przebiegać wad o potrzebie ograniczenia — oszczędności. Tak, proszę państwa, do tego już doszliśmy! Ale niech przetrząsani lub zamuszeni naszą zbytnią oszczędnością nie trapią się: karawał bowiem jest tego roku duży, a nasza wytrwałość zawsze krótka. Jak tylko prasa wszakże niedołaska kupkę popiołu, jak ukoronuje kilka „królów balu,” jak wyślawi kilka „koalek,” jak krzyknie: panowie i panie rrrrrrrr! — nowogwie, radzę wam wtedy uciec w najodleglejsze od ziemi sfery Olimpu, bo do popielaka spać nie będziecie. Na co zgrybiony, biedny i smutny polak może się zdobyć w zapusty, tego nikt obywateli nie zdoła.

Gdybyśmy był Bikalskim, natychmiast do mazurek lub kotylionu wprowadziłby nową figurę — sąd honorowy. Już niejednokrotnie usiłowałem zbogacić ulubioną naszą sztukę choreograficzną, zawsze daremnie. Przypuszczam więc, że i tym razem dobrać moja chęć zmarnieje. A szkoda! Przeglądaliśmy bowiem pomysł, który tak doskonale może zastępować miejsce niekiedy pojedynków i długich procesów, zwyrodniał się u nas tak daleko, że go już warte przynieść w krainę wesołości. Najpoważniejsi i najszlachetniejsi ludzie powołani do rozstrzygnięcia sporu, nie są objętyymi sędziami, ale obrońcami stron, które ich wybrały. Trzech lub pięciu adwokatów występuje przeciw tyluż adwokatom a zupełnie równość głosów przeważa wszechwładny su-

perarbitrator. To też sądy honorowe coraz bardziej zamieniają się na sądy superarbitrowe — z kłótnią, waśnią, niezadowolaniem i protestami. W stosunkach naszych trybunały obywatelskie przynależąby się bardzo, gdybyśmy chcieli wogóle sądsic bezstronnie, bezmamiętnie. Ale na nieszczęście wszędzie jesteśmy jednacy — tacy z nas sądziwio w życiu, jak w literaturze. Tu znamy tylko wiersza służbę w przyjaźni lub zalenności — tam również; tu oceniamy rzeczy według sympatii lub antypatii do osób — tam podobnie. Jeżeli autor, który wydał swą pracę, musi, bez względu na jej wartość, przyjąć wymysły z jednej strony krytyki, a chwalić z drugiej, to czemuż od tego losu miaby być wolny każdy, będący w zatargu o honor lub pieniądze? Jest to przeciwko konsekwencyi samej natury. Czy ustanowimy konkurs na projekt pomnika, czy komisję do rozdziału nagród między wystawców przemysłu, czy otworzymy turniej dramatyczny, czy poddamy sporną sprawę pod rozpoznanie grona obywateli, zawsze stare sżydło z worka wylezie. A siedzi ono w worku każdej warstwy społecznej. Niedawno z sądu państwowego wycofano głoszący proces i powierzono go honorowemu, złożonemu z tznów atutowych „wyższego świata”. Zdałoby się, że tacy utrzymają w swych rękach to sprawiedliwsze sąsiedztwo, która tak często wypada z rąk młódek i walutow. Gdzie tam! Powtarzają się zwykły w takich wypadkach rezultat: polowa sądziwio odmówiła podpisaną wyroku i założyła protest, który z całą sprawą powędrował do sądu państwowego. Nie zganiłam w jej treść i nie rozstrzygałam, która strona usiadła pod stopami Temidy, nie zapytałam: czy mi możemy skrzyżnić się na jakimkolwiek wyroki sądów, jeżeli nasze ciała honorowo okazują taką nieudolność lub niesprawiedliwość? Czy odbył się u nas w ostatnich czasach sąd obywatelski, o którym by powiedziano: czysty głos sumienia? Kodeks dopuszcza takimi trybunałami, nadaje nawet ich orzeczeniem szczególną moc, a wyznami szersze: jak to prawo wyzyskujemy?

Nie ufamy już swoim sądom tak dalece, że redakcja *Tygodnika Ilustrowanego*, długo nadeżdżana za najkompetentniejszą a dotąd za najbezsronniejszą w wyrokach krytycznych, zrozkła się głosu w ocenie wartości nawet własnego konkursu i odstąpiła głos swoim... abonantom, (którzy niedawno również decydowali, czy pismo to ma być składane na interliniach). Wybrzeże ona tylko wydrukuję try najlepsze utwory i ogłosi je, a prętomatorzy za pomocą nadeśłanych im kartek rozstrzygną, według jakiej kolei przyznad autorom nagrody. W ten sposób radzono sobie na wystawach pięknych kobiet. Nie przeze, że ten rodzaj plebiscytu zapewni pewnemu kółu ludzi przedmak dumy wyborczej i to w wyższej, niż polityczna, sferze życia; ale nie uzarazem zdrajcą abdykacye — nie ulega wątpliwości. Tym śródkiem redakcja wyznaje, że ona niema w sobie sił do słusznego osądzenia trzech... nowel, że musi odwołać się do swego... ludu po radę. W gruncie rzeczy tak ale nie jest, ale figiel wydawnictwa tak wygląda. Figiel to będzie dosyć drogi. Bo gdyby tylko 2,000 abonamentów przesłało poezję swa głosu, to samych marek wyjdzie za 140 rs. na koszt elekcyj. Żal mi owych rubli tem więcej, że *Tygodnik* nie potrzebuje ratować się takimi plebiscytami. O ile mi wiadomo, prętomatora jego od nowego roku znacznie wzrosła, a nawet pierwszy numer wczorajpani musiano przedrukowywać. Mam nadzieję, że i ja dostanę kartkę wyborczą, a wtedy napiszę na niej tyle: „Kupiec X. X., u którego nabywam masztard, nie wyszał mnie ani razu do orzeczenia, z jakiej fabryki mają sprowadzać. Jeżtem mu to za bardzo wdzienię, gdyż nie kłopotuje mi głowy, z gatunkami tego to-

waru nieobznajmionej, a nadto wzbudza we mnie wiarę w swoją znajomość masztardu. Prętomatorując *Tygodnik Ilustrowany*, mniemałem, że jego redakcja najstosowniej sama oceni, co ma swoim czytelnikom podawać. Odebrawszy kartkę do balotowania, mam zaszywać doniesie, że skutkiem braku czasu nie mogę być jednocześnie i abonatem i redaktorem szanownego organu, którego dotychczasowym przewodnikiem głos mój bez ograniczeń odstepuję.” Gdyby zaś tak postąpił wszystkie prętomatorzy *Tygodnika*, wyniknęłyby stał dwa dobre skutki: 1) jego redakcja odczytałaby znowu ufnosć w swa siły a 2) nie wydałaby już drugiego plebiscytu i nie narażałaby swych przyjaciół na zmarnowanie paru tysięcy poztowych marek.

Niedługo zapewne ukasie się odeszwa do narodu świeżo wyklutej „partyi” zachowawczego drobin, zwanej „młodym konserwatyzmem”. Już bowiem piszesz i podtrwasz kilkorok piskłat dośmiał. Wprawdzie, gdy jeden kogucik wskoczył na płot i chciał zapisać na odmiann, starsze go zepobiegły i podziobały, ale pisk się odzawa. I co to za rodzaj? Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że żyjemy w czasie rozszerzania się małosci. Z rozmaitych głąbin, szczelina i mroków wylazła i wypielajają rozmaite drobne stworzonka, które, nadymajac się własną dumą, tak pęgnąją, pęcznieją, aż oienka ich skórka nabiera przeziroczystości, zdradzającące wewnętrzne pustkę. Kto dziś w okrzestie dziennikarskiej nie chwytą za pierwsze skrzypce! Rzępoli, karcałami grajkowie lub długowłosy kandydaci na zapoznanych, którzy przez powien czas podudła i znikną bez śladu w kanałach literatury. Nie też dziwnego, że w takiej mglistej, posępnej i chłodnej pozie, żalego się coś, co chce przypominać Bismarków, Wagnerów, Chreubillów, Liebhachów itp., odrodzenie konserwatyzmu.” To coś długo nie wiedziało o swym odrębnym bycie, nie nosiło nawet osobną nazwy, którą wreszcie otrzymało od — nas. Tak, *Pravda*, szargawczy siem ten żabi skrzek, ochrzęta go „młodym konserwatyzmem.” I oto od kilka tygodni posiadamy „młodych konserwatystów.” podgrzających buńczuczność, sadowolonych ze swego. imienia. Kartkę bowiem, obasyta galonikiem, już mają, tylko co w niej robić będą, że co walczą — jeszcze nie wiedzą. I nie dowiedzą się, jeśli przeciwnicy nie „zdecydują” nowych rycezyrów. Na szczęście, powanych przeciwników dotąd nie wywabilił w pole.

Powanych i logicznych przeciwników zbytku, którzy ostraszali publiczność od Patti a napędzają do jakiegoś Diendonné, mocno przepaszam, że posiadacze ich o konsekwencyi względem trypan francuskiej, która nawiedziła Warszawę, Przypuszczam, że komn była za droga zaszkonić śpiewaczka, temu za droga będzie również gromadka wysortowanych aktorów z jednym prawdziwym artystą. Omyliłem się. Nieprzyjaciela Patti wzbujają słuchaczów panna Diendonné, który — pożywszy się barytona Lassala — mógłby z resztą swego towarzysza ocazarować Pacanów, gdyby Pacanowi ciobkowiek znalazło na tem, ażeby jego publiczność, która interesowała się teatrem francuskim, przypomnieć starą szkołę. Ponieważ, na nieszczęście, Warszawa leży po drodze różnych włóczeżyw artystycznych, więc ona dla p. Diendonné „zapelnia teatr po brzegi,” którego po łozę zapelnid nie może dla swoich lepszych aktorów i śpiewaków. Doprawdy, od czasu jak wiem, że fabrykanci polscy muszą na swych wyrobach przypieścić znaczki paryskie, że gdy ładacznica nad Sekwaną włoży sznur na głowę, to zaraz go włoży również „szana matrona” nad Wisłą, że nawet szniliłmarz francuska pachnie polskim nosom, od tego czasu dziwić się, że do Warszawy nie przyje-

chało jeszcze paryskie prosię i nie dalo kilku przedstawień „dobrego akcentu.” Miaby wielki „sukces,” czyli, mówiąc pospolitym i wsgardzonym językiem — wielkie powodzenie.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Banki miejskie. — Polska potulność. — Słabe uerwy i czuda mikroskopu. — Dowcip sw. Marka. — Ozna ki wiosny.

Rozmaitość typów społecznych, do której wadychają zarówno zwolennicy różniczkowania socyalnego, jak i autorowie poszukujących w życiu bohaterów dla swych utworów, znika coraz bardziej pod wpływem warunków, sprzeczających miłą oku „różnorodność w jedności” do wspólnego mianownika. Pomimo drobnych odmiann typów nasze społeczne poliozyc można na palcach: szlachci, przeklinający Amerykę i myślący o mnożniku, ksiądz, piorunujący na pozytywizm i również zajęty mnożeniem, fabrykant niemiec, który zamierza rozszerzyć zakres produkcji, fabrykant polak, który zapomina o swoim przedsiębiorstwie, ale natomiast wygłasza długie mowy w Towarzystwie zachęty przemysłu i handlu, kupiec, który już zbankrutował i kupiec, który dopiero zbankrutuje, literat, który skończył try klasy i „cieszy się uznaniem” i literat bez uznania, który zwykle posiada stopień naukowy, student, będący już to „naszym pocziwym młodzieńcem,” już bezwiednym narzędziem obcych wpływów, chłop, który ma przewrotne zasady, ale grunt dobry, szd wreszcie — konionca przyozna wazek, kich szbrodni w *Roli* i „fiara nieślusnych” prześladowa w *Izraelicie* zbiorowym i pojedynczych organach izraelitów obrażających lub chrzczonej. Nad nimi zaś w potyczonym obłoku unosi się biała, pulchna i ciotliwa jak gęś — niewiasta, która głosnem goganiem budzi zaspanych obrońców narodowego Kapitułu. W tej harmonijnej różnorodności brak nam jednak typu samorodnego finansisty, tego rodzaju, jakiego ciobkwe okazy widzieliśmy w bliskim sąsiedztwie rokrzrzyżowane na ławach sądowych, później zaś zwykłe powracane społeczeństwu „świątym wyrokiem sumienia narodowego.” Spodziewać się wszakże możemy, że wkrótce rośliny te wykwitną i na naszym gruncie, tem bardziej, że „pomimo trudnych okolicności, w jakich żyje nasze społeczeństwo” potrafiliśmy i w tej dziedzinie zaznaczyć „jak poważną pracę” kilku imion polskich (Krzeszkowski, Rembertowski, Broniewski itd.).

Nadzieja, którą wyraziłem, posiada widoki urzezywistnienia w niedalekiej przyszłości. Miasta prowincjonalne w Królestwie posiadają znaczne kapitały, złożone w Banku. Obecnie powstał projekt, ażeby kapitałów tych użyć na założenie banków miejskich, które w Cesarstwie „przeżyłyby się tyle do rozwoju wytworczosci i dobrobytu.” Rezerwywiście pr. Rykow, Swiridow i inni szeroko rozwinęli operacye finansowe, ale przykład Rosyi w tym wypadku może chyba odstraszyć tylko do uśladownictwa. Zwolennicy projektu zapominają, że sprzed dwoma laty banki miejskie w Cesarstwie bankrutowały jeden po drugim. Po co ma istnieć bank w takim np. Bilgoraju lub Opatowie? Albo będzie wogotwał i dochodami opłaci zaledwie kosztą zarządu, albo wda się w spekulacye i przedź lub później upadnie. Z pożyteczek skorzysta nieliczne grono gesezifaryz na szkód reszty ludności. Miasta nasze nie posiadają najpotrzebniejszych instytucyj — jak np. kas wkładowo-zaliczkowych, o-

szczędności itp. — a zachciwa się im, tj. właściwie nie im, lecz nieproszonym protektorom — banków.

W Cesarstwie zresztą banki znajdują się pod kontrolą organów samorządu miejskiego, który zaś u nas będzie pełnił tę funkcję? — Burmistrz, albo pp. radni, którzy często o czterech działach arytmetycznych nie znają?

Widzimy, ci, rozumie się, którzy widzieć chcą, jak działają kasy gminne. Niezależnie włościanin nie dostanie w nich pożyczki, wszystkie zaś kapitały zabierają bogaci lub protegowani, którzy potem wykorzystują je uboższymi na straszną lichwę. To samo, tylko w większych rozmiarach, powtórzy się w bankach miejskich. Pożytkamy natomiast związane nowych typów, zjawia się pp. dyrektorki i kasyerzy, którzy pójda utartym przez sąsiadów śladem, którzy będą „gubić” po 10,000 rs. — jak to uczynił przed paru dniami niejaki p. Kozłowski w Kijowie, będą za kradzione pieniądze wspierali zakłady dobroczynne, oświatę i sztukę, w chwili zaś sądogo obrachunku odczują się cyniczno: „kradliśmy, ale dla czego nas nie pilnowano, dla czego pozwolono nam złożyć przedsiębiorstwa spekulacyjne — dybali wiedzą na co idziecie?” Argument to wypróbowały i zbite nim z tropu „sumienie narodowe” wygłasza zwykle potem wyrok uniwiniający.

Bo zanim banki zdąży zbankrutować, będziemy już mieli sąb przysięgłych. Nowy minister sprawiedliwości zamierza instytucję tę wprowadzić do Królestwa. *Dziennik Warszawski* zaś dodaje szczegółów o pewnych zamiarach, jakim niegdyś ona w kraju naszym. Sędziowie zatwierdzeni będą przez rząd z liczby wybranych kandydatów.

Musieli już niemcy dobreś dopieć potulności ludności polskiej w Łodzi, kiedy nawet spokojny fejttonista arcy - spokojnego *Dziennika* oburza się na ich butę i zarozumiałość. P. Sarmaticus nie oszczędza jednak i polaków, w oczach ma zupełną słuszność. W rozmowie z Niemcami używamy zwykle ich języka, ustępujemy im dobrowolnie na każdym kroku i skargimy się potem na germanizację. Są tacy polacy, którzy na ulicy zwracają się zawsze do nieznajomego przechodnia z zapytaniem niemieckim. W rozmowie towarzyskiej Niemiec, kalecząc nasz język, próbuje wesoło wysłowoć się po polsku, ale grzeszny interlokutor przerywa mu zaraz: *sprechen sie deutsch, ich verstanden!* — plucie niestworzonego rzeczy niby to po niemiecku. Panie są jeszcze grzeszniejsze od mężczyzn, i w tych nawet sklepach, których właściciele lepiej mówią po polsku niż po niemiecku, używają zawsze mowy niemieckiej. Fejttonista zaręcza, że Niemcy dość chętnie noszą się po polsku, jeżeli zaś dążenie to nie stało się powszechnem, to dlatego, że znajomość mowy naszej jest w Łodzi zgola zbyteczna. Patriotcy zaś łódzcy (są i takie okazy) unikają starannie stosunków z Niemcami, z obawy, żeby ich nie germanizowano. Ostrożność ta jest tam synonimem obywatelskiego bohaterstwa.

To samo mniej więcej piszą do *Więku* z Zawiercia. W restauracjach niema wcale pami polaków, bo nikt o nie nie pyta. Właściciel zakładu niemiec zapromorował kilka dzienników warszawskich, ale polacy miejscowi nie czytali ich wcale, Niemcy zaś bardzo rzadko. Rozumie się, że restaurator nie narażał się długo na zbyteczną wydatki.

W tym samym fejttonie *Dziennika Łódzkiego* znajdujemy kilka szczegółów obywatelskich z życia t. z. „Munchestru polskiego.” Łódź posiada pod pewnym względem więcej ciekawego miasta, niżeli Warszawa; szkoda tylko, że to ołwiorna strona rozwoju przemysłowego rzadko bywa oświetlana. Demoralizacja ludności robotni-

czej przybiera tam szerokie rozmiary; w wyżysku, w rozpuciu, w uposledzeniu moralnem i fizychem warstw pracujących „Manchester polski” współzawodniczy może z angielskim. Zdarszają się tam sceny obrzydliwe i straszne. Pewnego dnia na ulicach miasta zjawila się dziewczyna, która gryzła własne ręce w napadzie szału i rzucała kamieniami na przechodniów. Była to nieszczęśliwa ofiara „temperamentu społecznego,” którą postępień zwałono do domu rozpusty; przebyła tam przez noc tylko i dostała pomieszania zmysłów. Miejszowi moralniści twierdzą, że o gwałstwach tego rodzaju nie należy wcale wspominać, podobne wypadki zdurzają się w Łodzi codziennie a dźwięczeta przecie nie wargują. „Ta ostatnia miała widocznie słabe nerwy.”

Ozasami jednak Łódź staje się prawdziwym partakularzem, czems w rodzaju Pasażowa lub Kozienic. Pomimo zajętej opozycji *Rocznika medycyny krajowej*, który ogranicza stale liczbę lekarzy łódzkich do sześciu, praktykuje ich w tym mieście rzeczywiście trzydziestu kilku. Jest to duża liczba, ale ponieważ czas są ciężkie, a współzawodnictwo owczarzy energiczne, lekarze muszą brać się na sposoby. Jeden z nich wyznaczał bardzo dowcipny środek zwroczenia na siebie uwagi publicznej: ogłosił bowiem, że kupił... mikroskop. Pomysłowy spekulant szczegółowo bardzo opisuje zastosowanie tego przyrządu, nadmienając, że za pomocą jego przeprowadzanie wypadki nagłej śmierci. Łódź nie posiada towarzystwa lekarskiego, koledey więc nie mają żadnej możności poskromić wybrków szarlatana. Niektórzy gorliwi o honor korporacji pragną zwrócić się do władzy, żeby zabroniła ogłoszeń niowiaściwa to droga, ale modna w dziesiętyszy czasach. Trudno jednak przypnieść, żeby jakakolwiek władza zechciała mieszać się do takich spraw, do rozstrzygnięcia których, chociażby wiedziata nawet o istnieniu i znaczeniu mikroskopu, nie posiada właściwej kompetencji.

Jezeli inteligencja łódzka wierzy w „cud mikroskopu” nie dziwnego, że chłopcy w ohemskiem uwierzyli w odwiedziny św. Marka. Hryć Opansasiuk, postyszwasz niezwykły szeslet w komorze, wszedł tam i njezał starca z wielką brodą, kłoseczką na środku izały. Starzec oznajmił gospodarzowi oraz jego żonie, że jest świętym Markiem we własnej osobie i polecił im zwołać natychmiast wszystkich sąsiadów na wspólną modlitwę. Hryć z żoną pobiegli na wieść i sprowadzili wkrótce całą gromadę ciekawych, święty starzec zniknął jednak i naproście oczekiwali go dość długo. Wreszcie praktyczna Oskena zauważyła, że brak w komorze polcia słoniny, a dalsze poszukiwania wykazały, iż dowcipny apostoł zabrał co się dało z cenniejszych rzeczy i lotnił się tak endownie, że pomimo pogoni ujął go nie zdołano.

W kraju złudzeń cudownych przebywa również niejaki p. S. D. Wicz, który w *Gazecie lubelskiej* podaje myśl związania stowarzyszenia, mającego na celu zupełne usunięcie pośrednictwa. Spotykać powinien porozumiewać się wprost z wytwórcą. Mysł to zupełnie słuszna, ale czyż p. S. D. Wicz nie rozumie, że spełnienie jej prowadzi do radykalnej zmiany w ustroju społecznym i osiągnięciem był może za pomocą zasadniczych reform dzisiejszego stanu rzeczy? Jakkolwiek nie mam uprzedzenia do polskiego Nazaretu nad Bystrycą i wierzę, że może nasz wyjęc coś dobrego, wątpię bardzo o praktycznem wykonaniu projektu p. Wicza, nawet w szczerpym zakresie.

W Radomiu kilku zapalonych subiektywistów, którzy na zasadzie spostrzeżeń nad samymi sobą doszli widocznie do przekonania, że nastąpiła już pora majowej — ziczeni — urządził wielką maskaradę na

łódzie. Przytaczamy wyjątek z afisza: „Maskarada-Lato. Pp. przyjmujący udział prozacji są o przybycie w lotnich kostiumach, przybranych w kwiaty, ażeby tym sposobem nadać zabawie komiczny i oryginalny charakter.” Rzeczywiście oryginalny, ale nie komiczny chyba będzie widok tych rozbarwionych, którzy dla zabawy nie wahażają się narażać zdrowia, lub nawet życia.

Wiosna jednak zbliża się na prawdę i wkrótce już powitamy doroczny jej występ. Nie wiem, co tam mówią meteorologowie, ale posiadam znak niezawodny, który nigdy nie mylił: pp. Fajans i Górnicki rozpoczeli już polemiki w sprawie żeglugi na Wiśle. Z obu stron padły pierwsze strzały — wiosna tedy za nasem.

J. Nieboreki.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Wszystko, co śpiewał Lassale (z trupy francuskiej) było godnem znakomitego artysty, który obok potężnego organu, posiada świetną technikę. Głos jego tętni dramatyczną siłą, która łączy się z sztuką aktorską, wyrażała, piękna, lubo niewolna od szabloności gry opery francuskiej. W ustępiech z *Rigoletta* i w trzecim akcie *Hamleta* Thomasa p. Lassale osławił i porwał słuchaczy, którzy żalowali, że artysta nie mógł zabłysnąć swym talentem w roli aktora świetnej baronyowej roli.

Isni członkowie tej naprzedzie złotej trupy błędi przy nim, jak lampy przy słońcu. Panna Duvivier mezo sopran śpiewała niezwykle męznym głosem, panna Dolmont poprawnie lubo niewieloletni lejzszym sopranem, starając się przytem okiełzać widłom powabami bogato rozświetlonego, gorsu. Obie śpiewaczki najpiękniej się przedstawiały w urwku z *Hamleta*. P. Viola tenor ma daleko ładniejszą od głosu — powłocherchowość.

Artyści dramatycznej tej trupy, odegrali cztery komedijki. Są to wogóle mienoty i jeden tylko p. Diendonné wyskakuje nieco nad poziom. Jako przedstawiciel złazego komunizmu lubony jest podobno w Vaudeville'a paryskim — na naszej scenie przedstawiał się nieled, chociaż wolelibyśmy widzieć lepszych i głębiejszych jego kolegow. Zatrudnili tylko motua francusom ich dyrektora p. Vianell Energiczny, rzutki ten człowiek zamieniał w jednej chwili orkiestrę na strójny i zgodny instrument muzyczny, a podobno nie bawił się w pozowanie na wielkość.

Koncert na korzyść studentów weterynaryi, oprócz p. Dowiakowski, nie zyskał w tym roku poparciem artystów — naturalnie — publiczności. Czemu?

Prof. I. Baranowski, wysłuszujący 25 lat w unwersytecie, nie uzyskał przy balotowaniu potrzebnej ilości głosów i opuścił katedrę.

Przeszemu Kasy Mienowskiego obrano hr. St. Krownberga, vice-przeszem hr. J. Baranowskiego.

Koleje karna. Spółka kapitalistów miejscowych i niemieckich przystąpił wkrótce zamierza do budowy kolej konnej z Kutna przez Łęczycę, Turek do Kalisza, z odnogą od Łęczycy przez Ożorków i Zgierz do Eozd. Koncesja na kolej konną nie przedstawia żadnych trudności, wątpliwem tylko jest uzyskanie zezwolenia na dalszy ciąg tej linii z Kalisza do Ostrowa w K. P. — znaniekiem. W gub. Kaliskiej znajduje się 1,825 fabryk produkujących za 9½ mil. rubli rocznie.

Wydalania. Z Kępna wiadomości praske wydalili siedmiuście dziewczynki, sieroty, jako poddańskie rosyjskie.

Ból głowy u dzieci. Jeden z lekarzy rosyjskich ogłosił rezultaty spostrzeżeń swych nad bólem głowy u dzieci w wieku szkolnym. W ciągu 5 lat badał on 7,478 chorych, z których 867 cierpiało bardzo silnie. Poza tymi ofiaramielieli dłaćmi cierpieć na ból głowy stanowią 58, starsze dłaćmi czulej, wreszcie procent chorych dochodzi do 28 a nawet 408 w ostatnich latach wieku szkolnego. Jedyną przyczyną tego smutnego faktu jest przeciełanie praca.

Statystyka szkolna. Gubernia grodzieńska posiada 980 zakładów naukowych z 32,639 uczących się. W stosunku do ogółu ludności każdego wyznania naj-

mniejszy procent uczniów wypada na katolików, największy zaś na protestantów, potem zaś na żydów. Ten sam stosunek istnieje i w gub. wileńskiej.

Szkoly. Książe Sangusko ofiarował gmach i 10,000 rs. rocznie, jeśli w Sławucie otwarte będzie gimnazjum z warunkiem, aby kilku uczniów, synów niezaślubionych oficyalistów pobierało naukę bezpłatnie.

Jezuiti prow. galicyjskiej urządzili trzy nowe śledziska w Cieszyńcu, Jasasch i Czerńlowach.

Gogactwa kopalne. We wsi Garbów w Lubelskiem przy zwiedzaniu majątku przez delegacyę Towarzystwa kredytowego znaleziono pokłady rudy żelaznej, dotychczas jednak nikt nie określił, czy eksploatacyja jej może mieć widoki powodzenia. W zachodniej części gubernii natrafiono znowu podobno na pokłady soli i gipsu, ale 1 o tem odkryciu kładło tylko głuche wieści.

Narady okucowników. Uczestnicy zjazdu okucowników w Kijowie podzielili się na dwie partye. Jedni proponowali określenie maximum produkcji buraków, za przykładem Austrii i Niemiec, drudzy zaś twierdzili, że ograniczenie produkcji nie ma racyi, należy zaś tylko wyznaczyć przeciętną cyfrę konsumpcyi (20 milionów pudów), cukier zaś wyrobiony po nad tę normę wywozić za granicę, z całkowitym zwrotem akcyzy i wypłać premium po rablu od puda. Żeby zaś skarb nie ponosił ciężaru, akcyzę od cukru należy podnieść o 20 kop. od puda i z otrzymywanej w ten sposób przewyżki dochodu wypłacać premium. Wniosek ten przyjęto.

Popieranie oszczędności. Bank państwa postanowił otworzyć w Warszawie cztery kasy oszczędności, przedewszystkiem temu wystąpił magistrat, twierdząc, że w tym względzie posiada on wyłączny przywilej, z którego, niestety, bardzo nieumiejętnie i nieobficie korzysta.

Prasa polska. Podobno w Petersburgu wkrótce wychodzić zaczęły drugie pismo polskie p. t. *Gazetada*.

Projekt urzędnika w Warszawie komitetu statystycznego, waleisony został do Rady państwa. Komitet składał się m. m. z delegacyi, do której wejść przedstawicieli różnych władz i osoby zaproszone, oraz ze stałego biura.

Romit. Chemik szwedzki Sjöberg wypalił nowy środek wybuchowy, któremu nadał powyższe nazwę. W porównaniu z dynamitem romit posiada nadzwyczajnie cenę, nadejże się bowiem do napelniania bomb i granatów, posiadając nie mniejszą siłę wybuchową.

Cukrownictwo w Niemczech doszło do największego rozwoju w 1884 r. albowiem liczba cukrowni wyniosła 408 a ilość przerobionych buraków 104 miliony podług oficjalnych centralów. W r. 1885 pozostało tylko 376 cukrowni, które przerobiły 89 mil. podw. cent. buraków.

Ciekawy zbiór. Zarys niedawno ojciec króla portugalskiego książę Ferdynand zbierał utwory konfiskowane przez cenzurę. Miejscowy zarząd cenzury przesyłał mu wszystkie zabronione publikacye, oprócz tego listy agencji w różnych krajach dostarczały królowi gazety lub książki zabronione. Podobno Austrija zajmuje najpoważniejsze miejsce w tym zbiorze.

Zmarli. Ponchelli, kompozytor muzyczny, autor znanej opery *J. Liliuani*, do której libretto przerobił o *Walleroda*.

— Dr. O.skar Schmidt, znany zoolog niemiecki.
— B. Neher, malarz historyczny, dyrektor szkoły sztuk pięknych w Stuttgarcie.
— Jan Hempel, b. naczelnik zarządu górniczego w Królestwie, autor kilku prac z zakresu geologii.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Wysadzka abonentom prowincjonalnym dał P. Prusa zwracamy uwagę na wyrażenie zawiedziony w ogłoszeniu, że otrzymaliśmy oni wszystkie tomy razem, gdyż znaczny koszt opłaty pocztowej uniemożliwiał przysyłanie każdego tomu osobno. W lutym druk całokształtu ma być ukonczony.

P. Jachowicz B. w Łodzi. „Zarys dalekiej literatury polskiej” Kulickowskiego, a zamiast stylistyki —

lepszą jest porządna gramatyka i czytanie dzieł pisarzy wzorowych.

Prenum. w Rydze. Osobne zeszyty *Ekonomii pol.* o tyle jedynie przesładować będziemy, o ile pozostaną po zryciu egzemplarzy całkowitych.

Sk. St. Przeczytaliśmy chętnie, ale drukować nie możemy.

Ogłoszenia.

BOLESŁAWA PRUSA

(Aleksandra Głowackiego)

SZKICE i OBRAZKI

tomów 4, z portretem autora

Całość rs. 3, każdy tom pojedynczy kop. 80.

Tomy pierwszy zawiera utwory następujące:

Nowy rok. — Żywy telegraf. — Na wakacyach. — Kocha nie kocha? — Katarzyna. — W Górach. — Kamizelka. — Cienie. — Pomiejęcy. — Przekięte szczęście. — Przy kielichu. — Milknące głosy. — Stara bajka. — Płód świata.

Tom drugi:

Orestes i Pyłades. — On. — Podwójny człowiek. — Na pograniczu. — Echa muzyczne. — Rad. Dudkowi i jego folwark. — Grzechy dzieciństwa.

Tomy następne wyjdą w bieżącym kwartale.

Od drugiego tomu prenumerata ustaje, a cena czterech tomów wynosi **rs. pięć.**

Przesyłający pieniądze bezpośrednio do kantoru Spółki kosztów porta pocztowego nie ponoszą.

Abonentów prowincjonalni otrzymują wszystkie tomy razem.

SPÓŁKA NAKŁADOWA.

Zielna 7-A.

Nakładem Prawdy wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadana jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałtownych ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczysty świat zjawisk.

Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Uboństwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. 2, dla abonentów naszych, rs. 1 k. 50.

Zwracający się z zadaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Redakcyja PRAWDY zawarła umowę z p. K. Bertoszewiczem, na mocy której tanie jego wydawnictwo dzieł pisarzy polskich otrzymywać mogą nasi prenumeratorowie po nadzwyczajnie zniżonej cenie, a mianowicie 15 tomów dzieł: J. N. Niemcewicza (5 tomów), Jana Kochanowskiego (4 tomy), Ignacego Krasińskiego (5 tomów) i Satyry Opalińskiego (1 tom), których i tak już niska cena księgarska wynosi 11 rs. 25 kop. — odstępuje p. B. dla naszych prenumeratorów za 5 rs., czyli 10 tomów wydawnictwa (280—330 str. druku) wypłacić za 33 kop.

Abonentów z prowincyi zechcą dotężyć na kosztach przesyłki rs. 1.

Pojedynczo można nabywać w naszej Administracyi:

Dzieła J. M. Niemcewicza za 2 rs. 25 kop.

Dzieła Ign. Krasińskiego za 2 rs.

Dzieła Jana Kochanowskiego za 1 rs. 50 kop.

Satyry Opalińskiego za 50 kop.

Upraszamy o wczesne zgłaszanie się z powodu niewielkiej ilości kompletów.

SPÓŁKA NAKŁADOWA wydała studjum etnograficzno-społeczne W. Smoleńskiego p. t.:

DROBNA SZLACHTA

W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Cena kop. 60.

J. Brandes

Główne prądy literatury XIX-go wieku.

Tom I, II i III po rs. 1 k. 50, tom IV rs. 2. Całe dzieło rs. 6 (z przesyłką pocztową).

SPÓŁKA NAKŁADOWA

połącza następujące wydawnictwa swoje: Cmielowski Piotr dr. Autorki Polskie wieku XIX, studjum literacko-etyczno-społeczne, osobno sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Jerzy Brandes: Główne prądy literatury europejskiej XIX w. Tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora str. 402 rs. 2.

Herbert Spencer: Zasady etyki, z 2-go wydania oryginalna angielskiego przełożył Jan Karłowicz rs. 2.

Światłko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono wybitniejszych pisarzy polskich, w ozdobnej oprawie, z dworzykami w tekście rs. 1 kop. 80

Stanisław Kramsztyk: O postaci i ciężarze ziemi kop. 50.

Nabywający dzieła powyższe w kantorze Spółki (Zielna 7-A) kosztów przesyłki nie ponoszą.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICZY MYŚLI.

Cena rs. 1. (wraz z przesyłką pocztową).

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorem „PRAWDY” otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.